WIONOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 10 (283)
ROK VII
5 marca 1967 r.

Prof. dr Ignacy Malecki — z-ca sekretarza naukowego PAN

POLSKO-CZECHOSŁOWACKA WSPÓŁPRACA NAUKOWA

Tradycje stosunków naukowych między Polską i Czechosłowacją tkwią w głębokiej przeszłości. Zrodziły się one w epoce żywych prądów umysłowych, gdy na gruncie już osiągniętej kultury powstawały pierwsze ośrodki naukowe — Uniwersytet Karola w Pradze i w parę lat później — Uniwersytet Jagielloński w Krakowie. Między uczonymi obu uniwersytetów od początku ich działalności zaistniały kontakty, bliskie i ważne dla dalszego rozwoju kultury, nauki, myśli społecznej i politycznej. Ponad zdarzeniam historycznymi, nieraz tragicznie wstrząsającymi całym życiem narodów naszych krajów, trwały one w postaci więzów sympatii lub choćby indywidualnej znajomości przedstawicieli nauki i kultury. Dopiero w czasach nam współczesnych, gdy kształt życia stał się zależny od ludu, również stosunki naukowe między naszymi krajami zyskały szanse rozkwitu.

Dwadzieścia lat temu dążenie do braterskiej współpracy znalazło wyraz w zawarciu umowy kulturalnej między Polską i Czechosłowacją. Umowa ta stworzyła ogólne ramy, które z roku na rok wypełniały się coraz bogatszą treścią. Treść ta — to również sprawy nauki i współpracy naukowej. Najwcześniej nawiązują się kontakty w dziedzinie matematyki i historii, podjęte spontanicznie przez przedstawicieli tych dziedzin; odradzają się też stosunki między uniwersytetami.

Akademie Nauk obu krajów nawiązują kontakty niemal na początku swego istnienia. W 1955 r. zaś nadają tym stosunkom ramy organizacyjne w postaci Protokołu o współpracy. Po raz pierwszy ustalono wtedy kierunki współdziałania i współpracy naukowej. Jako najważniejsze uznaliśmy wówczas takie dziedziny, jak matematyka, historia, biochemia, fizyka i budowa aparatury naukowej. W trakcie współpracy zakres ten rozszerzał się, obejmując kolejno archeologię i językoznawstwo, geografię i geologię, chemię, podstawowe nauki techniczne, nauki rolnicze, medycynę, socjologię i filozofię.

Rozwój tematyki badawczej doprowadził stopniowo do jej rozszerzenia na wszystkie te dziedziny i dyscypliny, w których mogliśmy dać sobie wzajem najwięcej, a jednocześnie do koncentracji wokół problemów najważniejszych. Jakie są efekty tej współpracy? Najchętniej wymieniamy na pierwszym miejscu bezpośrednie kontakty między pracownikami jednej specjalności, czyli po prostu wzajemne wizyty naukowe. Różny jest ich charakter, a w nauce słowo „wizyta" rzadko miewa charakter kurtuazyjno-towarzyski. Są to więc i wykłady profesorów, i konsultacje naukowe, i swego rodzaju penetracje badawcze. Wyjazdy to także staże pracowników młodych, doskonalących się w warsztacie pracy wybitnych uczonych w przodujących placówkach naukowych. Korzystamy z tego rodzaju współpracy w całej pełni dotychczasowych możliwości. I chcielibyśmy, aby były one coraz większe, a wizyty naukowe czymś codziennym i zwyczajnym. Jedną z dróg jest tu bezpośrednia współpraca naszych placówek naukowych, co oznacza wspólną pracę przy jednym warsztacie badawczym nad wspólną problematyką.

A problematyka ta jest bardzo bogata. Dzięki współpracy z kolegami czeskimi naukowcy polscy zapoznali się z konstruowanymi w Czechosłowacji skraplarkami helowymi. **Fizyka ciała stałego** jest dziedziną, w której kontakty dają obopólny pożytek, gdyż jest to dziedzina dobrze rozwijająca się w Polsce. Parę lat temu opracowane w instytutach PAN diody i tranzystory spotkały się z dużym zainteresowaniem naukowców w Czechosłowacji, inspirując prace badawcze i znajdując wykorzystanie w przemyśle. Z fizyką ciała stałego wiąże się obecnie szeroka współpraca w zakresie półprzewodników, którą realizujemy wspólnie w ramach planów wielostronnej współpracy RWPG.

W dziedzinie chemii i biochemii skorzystaliśmy wiele dzięki kontaktom z wybitnymi zespołami badawczymi Czechosłowackiej Akademii Nauk. Wspomnieć tu trzeba koniecznie o cennych dla nas badaniach z zakresu polarografii, w której nauka czeska przoduje od szeregu lat i chlubi się dziełem J. Heyrowskiego — twórcy nowoczesnej polarografii, laureata Nagrody Nobla. W zakresie biochemii współpraca obejmuje kilka tematów, które opracowujemy korzystając często z najnowszej aparatury laboratoriów Instytutu Biochemii Cz. AN.

W naukach o Ziemi od dwóch lat prace badawcze nabrały rozmachu i prowadzone są kompleksowo. Dotyczą one głównie rejonu Karpat, którego zbadanie jest wspólnym interesem, a możliwe się to stało jedynie dzięki oparciu badań na wspólnych badaniach terenowych. Bardzo dobrze rozwijają się prace nad geomorfologią Karpat; w Bratysławie ukazał się już tom I polsko-czechosłowackiego wydawnictwa ujmującego wyniki tych badań; tom II wydany będzie w Polsce. Międzynarodowe sympozjum głębokich sondowań sejsmicznych, które odbyło się dwa lata temu w Brnie, wytyczyło kierunki prowadzonych obecnie wspólnie przez nasze kraje badań seismicznych, dotyczących „korzeni" Karpat. Dla całości obrazu współpracy naszej w tej dziedzinie — wymienić trzeba też badania flory i fauny tego rejonu.

Na pewno godna podkreślenia jest tendencja rozwoju współpracy w dwóch kierunkach — humanistycznym i technicznym, mocno podbudowanym naukami ścisłymi. Tendencje te wyrażają tradycje przeniesione z przeszłości i potrzeby współczesności. Historycy naszych krajów współpracują efektywnie w polsko-czechosłowackiej komisji historycznej, która jest organem żywym i twórczym. W zakresie filozofii i socjologii, badaniom współczesności — jak socjologia wsi, socjologia pracy, problemy metodologii badań — towarzyszą prace naukowe przygotowujące wydawnictwa: antologii filozofii czechosłowackiej, która będzie wydana w Polsce, i antologii filozofii polskiej, przygotowywanej dla publikacji w Czechosłowacji. Wzajemnym zainteresowaniem cieszą się prace z dziedziny ekonomii, a w Czechosłowacji zwłaszcza dorobek wielkiego polskiego ekonomisty, Oskara Langego.

Współpraca Akademii Nauk naszych krajów odegrała poważną rolę na arenie międzynarodowej, a zwłaszcza w Międzynarodowych Uniach Naukowych i Radzie tych Unii (ICSU). Ścisłe i przyjacielskie współdziałanie naszych uczonych na tym terenie przyczyniło się wielokrotnie do rozwiązania trudnych i nieraz delikatnych problemów naukowo-organizacyjnych. Dla nas współpraca ta stała się jeszcze jedną okazją pogłębienia przyjaźni i wzmocnienia jej osiągniętymi sukcesami.

Przyjaźń, zrozumienie, sukcesy — to fundament rozwoju dalszej współpracy.

(WiT-AR)

Z wystawy fotogramów J. Nowosielskiego w Domu Sztuki w Rzeszowie. Fot. M. KOPEĆ

Jan Bolesław Ożóg

Ze wspomnień

O teatrze międzyszkolnym w Rzeszowie

Ostatnio cała prasa krakowska, a także ogólnokrajowe czasopisma pedagogiczne rozpisywały się szeroko na temat Teatru Międzyszkolnego, utworzonego przed kilkunastu laty przez dyrektora V Liceum Ogólnokształcącego w Krakowie, Stanisława Potoczka. Placówka ta obchodziła niedawno jubileusz dziesięciolecia, doczekała się drukowanej monografii (opracowanej przez jej kierownika), a przed kilku dniami uczczona została zbiorową Odznaką Tysiąclecia.

„Teatr Potoczka", bo tak się popularnie nazywa w Krakowie Teatr Międzyszkolny, nie jest niczym w Polsce nowym. Przypomina mi on zapomniany dziś zupełnie teatr międzyszkolny, który istniał w latach międzywojennych w Rzeszowie.

O tym teatrzyku należałoby powiedzieć kilka zdań, przekonany bowiem jestem, że pod wieloma względami przewyższał on uczniowski teatr krakowski i podobnie, jak uczniowski teatr krakowski dziś, był on przed wojną tego rodzaju placówką w kraju bodajże jedyną.

Powstał on z inicjatywy znakomitego pedagoga — polonisty dra Stefana Przybosia, bratanka wybitnego poety Juliana Przybosia. Urodzony w Rzeszowie, tutaj w gimnazjum humanistycznym złożył maturę, a około r. 1925, podobnie jak Julian, ukończył studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim i wkrótce zamianowany został wykładowcą w starym popijarskim gimnazjum klasycznym w Rzeszowie. W r. bodajże 1926 zorganizował on ze starszych uczniów zespół teatralny, który przygotował, o ile pamiętam (byłem bowiem wtedy małym jeszcze chłopcem) „Dziady" Mickiewicza i „Kaligulę" Rostworowskiego. W roku 1927 przesunięty został „Funiu", takim bowiem zdrobniałym imieniem nazywano Przybosia w gwarze uczniowskiej, do gimnazjum humanistycznego, gdzie uczył bez przerwy lat cztery. W tym czasie przystojny młody doktor filozofii o czarujących blond włosach, bożyszcze wszystkich rzeszowianek, przygotował w „rodzinnej" swojej „budzie" — wespół z prof. drem A. Ruczką, który pełnił równocześnie funkcję dyrektora w rzeszowskim teatrze amatorskim „Reduta" — spektakl „Cyrana de Bergerac" Rostanda. Przez długi czas świetne to przedstawienie nie schodziło, jak się to mówi, z afisza, a wystawiano je na deskach teatru „Reduta". Publiczność, przede wszystkim starsza publiczność, była nim zachwycona.

Teatr „Reduta", który mieścił się w Domu Sokoła przy ul. Krakowskiej, naprzeciwko klasztoru Bernardynów, stara w Rzeszowie placówka teatralna, mająca w swojej historii znakomite karty, nie mogła jednak służyć stale aktorom gimnazjalnym. Przyboś, który w przedstawieniach „Reduty" grywał i który w „Zemście" Fredry w roku bodajże 1928 odtwarzał znakomicie rolę Papkina — był niezrównanym aktorem charakterystycznym — postarał się o lokal stały dla teatrzyku szkolnego. W gimnazjum humanistycznym dobudowano w tym właśnie czasie z funduszów szkolnych olbrzymią salę gimnastyczną. Za staraniem Przybosia znalazła się tam także szeroka i wysoka scena wraz z pomieszczeniem na orkiestrę. Za jego wskazówkami zakupiono najnowocześniejsze urządzenia teatralne z dźwigami, mechanicznymi zwrotnicami, zapadnią, reflektorami itp.

Zyskawszy locum i scenę, której mogła Przybosiowi pozazdrościć nie tylko rzeszowska „Reduta", ale i niejeden ówczesny zawodowy teatr wielkomiejski, teatr szkolny przy gimnazjum humanistycznym ściągnął do siebie wszystkich miłośników sztuki teatralnej w szkole własnej, a także z gimnazjum żeńskiego, a nawet z gimnazjum klasycznego. Tak powstał teatr międzyszkolny, który z dużym powodzeniem rywalizował przez jakiś czas z „Redutą".

Pamiętam sztuki, jakie szły tutaj przy sali wypełnionej zawsze po brzegi. Najpierw pokazała się „Odprawa posłów greckich" Kochanowskiego (z muzyką prof. Włodzimierza Budzynowskiego), potem „Noc listopadowa" i „Warszawianka" Wyspiańskiego, „Eros i Psyche" Żuławskiego, „Młody las" Hertza i inne. Przedstawienia przygotowane przez wytrawnego reżysera, jakim był Przyboś, pielęgnujący w uczniach ambicje odkrywcze, awangardowe, stały na wysokim poziomie. Stosowano umiejętnie wszystkie środki wyposażenia technicznego i przygotowywano śmiałe dekoracje. Szkolna orkiestra mieszana, którą prowadził najpierw Mieczysław Szczygieł, a potem Józef Stańko, wspomagała widowiska wyborną ilustracją muzyczną. Były to własne kompozycje uczniów — dyrygentów. Sala widowiskowa, mogąca pomieścić tysiąc widzów, wyposażona w krzesła, służyła przede wszystkim młodzieży szkół średnich, których w Rzeszowie przed wojną nie brakowało.

Teatr lubił eksperymenty. Wystawiano sztuki nie tylko z repertuaru klasycznego, stanowiące lekturę szkolną. Pamiętam spektakl, złożony z czterech jednoaktówek z życia apaszów i mętów wielkomiejskich. Niesłychanie dramatyczne, wywoływały dreszcz emocji, który potęgowały efekty zarówno akustyczne, jak i świetlne, zastosowane wręcz znakomicie. Nie pamiętam tytułów jednoaktówek, autorem ich jednak, o ile wiem, był sam Przyboś.

Wypada mi przy tej okazji przypomnieć, że Stefan Przyboś parał się równocześnie poezją. Należał podczas studiów krakowskich do grupy poetów — nowatorów, która wydała drukiem m. in. jednodniówkę „Hiperbola" (w roku 1922). Ogłosił on w tym piśmie kilka bardzo ciekawych poematów, napisanych prozą poetycką. Wyróżniają się one spośród innych prac członków grupy i przewyższają, moim zdaniem, nawet wiersze Juliana Przybosia, który wystąpił także przy jego boku. Obaj, jak mi się zdaje, fascynowali się wtedy programem futurystów i surrealistów francuskich, poezją Bretona i Apollinaire'a.

Niestety żywot rzeszowskiego teatru międzyszkolnego nie był długi. We wrześniu 1932 r. Przyboś opuścił Rzeszów, powołany na stanowisko dyrektora gimnazjum w Samborze. Aksamitną, szeroką kurtynę sali teatralnej pokrył na długie lata kurz. Nie znalazł już Przyboś następcy. Poloniści, którzy po nim przybyli do gimnazjum humanistycznego, nawet z doktoratami, teatrem się już w takim stopniu nie interesowali. Zgrany zespół aktorów — amatorów, rokujących duże nadzieje, jak Antoni Kurasiewicz, Stanisława Niedzielska, Laura Strassberg, Leszek Bieńkowski, Karol Kałkowski, Efroim Methal, Władysław Nowiński, Tytus Korytyński, Mieczysław Kluz, A. Wojciechowska, Maria Gürtler i inni oraz dekoratorów, jak Tadeusz Jaśkiewicz i techników — poszedł w rozsypkę.

Sam Stefan Przyboś, który zarzucił prace literackie i teatralne, został w czasie wojny zamordowany w obozie koncentracyjnym w Mauthausen.

POLSCY KOMISARZE CZERWONEJ TAURYDY

(OD STAŁEGO KORESPONDENTA AR W ZSRR)

„Tam na północ, ku Polsce, świecą gwiazd gromady.
Dlaczegoż na tej drodze błyszczy się ich tyle?
Czy wzrok twój ognia pełen, nim zgasnął w mogile,
Tam wiecznie lecąc jasne powypalał ślady?"

Gdyby Mickiewicz pisał „Sonety krymskie" w czasach Republiki Taurydzkiej, ten napis znalazłby się nie na grobie hrabiny Potockiej, lecz na mogile polskich czerwonych komisarzy, których obelisk wznosi się na centralnym placu Ałuszty.

Polscy komisarze Krymu? Otrzymałem do wglądu fragment książki „Śladami bohaterów rewolucji", którą Wydawnictwo Krymskie przygotowuje do publikacji z okazji 50-lecia Rewolucji Październikowej. Są w tej pracy zaskakujące wręcz stronice.

NIE TYLKO W PIOTROGRODZIE

Polacy byli nie tylko na pokładzie „Aurory", w sztabie Rewolucji Październikowej w Smolnym, wśród członków Rady Komisarzy Ludowych w Piotrogrodzie. Znaleźć ich można było niemal we wszystkich zakątkach imperium rosyjskiego, gdzie toczyły się rewolucyjne boje.

Władysław Figielski, kolega gimnazjalny Juliana Leszczyńskiego, kierownika komisariatu do spraw polskich przy rządzie radzieckim, były student Sorbony, wybitny matematyk został pierwszym przewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych Turkiestańskiej Republiki Rad. Komisarzem ludowym spraw wewnętrznych Białorusi był Stanisław Mertens. Na Litwie finansami zarządzał Kazimierz Cichowski. W Azerbejdżanie w Centralnym Komitecie Wykonawczym zasiadł Jan Godlewski. Jakuck wyzwolił spod panowania białogwardzistów Apolinary Rydzyński. Majerczak pełnił funkcję komisarza opieki społecznej w guberni jenisejskiej. W Tadżykist członkiem Rady Komisarzy Ludowych był Putowski.

Ale na Krymie, gdy w 1918 roku ogłoszono tam władzę radziecką, była cała plejada polskich komisarzy. Oto niektórzy z nich:

Jan Tarwacki — przewodniczący Rady Delegatów Robotniczych, Chłopskich i Żołnierskich guberni taurydzkiej, członek gubernialnego komitetu SDPRR;

Jan Bulewski — komisarz majątków rodziny carskiej i książąt rosyjskich na Krymie;

Jan Wąsak — komisarz majątku w Kuczuk-Lambate;

Feliks Kosiarz — komisarz majątku w Partenite.

Wybitną rolę w rewolucji na Krymie odegrał także **Stanisław Nowosielski**, który na polecenie Komitetu Centralnego Socjal-Demokratycznej Partii Robotniczej Rosji przybył na Krym wraz z Tarwackim i bratem Lenina, Dymitrem Uljanowem.

Z SYBERII DO AŁUSZTY

Najwybitniejszą postacią wśród Polaków na Krymie był Jan Tarwacki. Kiedy bolszewicy Taurydy wysunęli 10 kandydatów do Konstytuanty w Piotrogrodzie, zajmował na ich liście czwarte miejsce. Tarwacki był starym polskim rewolucjonistą, członkiem SDKPiL od 1898 roku, należał do Warszawskiego Komitetu Partii, nosił pseudonim „Pytlas".

W 1900 roku znalazł się w Odessie pod nadzorem policyjnym, ale nie przeszkodziło mu to w nawiązaniu kontaktów z rosyjskim podziemiem rewolucyjnym. Był kolporterem leninowskiej „Iskry". Na V Zjeździe SDPRR w Londynie poznał osobiście Lenina, a gdy Lenin zamieszkał na Podhalu, jeździł do niego do Poronina.

Miał za sobą pobyt w kazamatach Cytadeli Warszawskiej, zesłanie do gubernii archangielskiej i do Orszy, gdy — po wybuchu I wojny światowej — ponownie zakuto go w kajdany i zesłano na Sybir. Pracując jako ślusarz mechanik w Jenisejsku, stworzył tam mocną organizację bolszewicką i zorganizował punkt przerzutowy dla zbiegów z katorgi. Po wybuchu Rewolucji Lutowej był delegatem bolszewickim w Komitecie Rewolucyjnym i Radzie Miejskiej Jenisejska.

Jako wysłanik robotników Jenisejska przybył do Piotrogrodu, w którym na wiosku wisiała Rewolucja Październikowa. Przyjął go w Smolnym Świerdłow. Spostrzegł on, że Tarwacki ma silnie poderwane zdrowie. Powiedział: „Drogi Pytlasie", pojedziesz leczyć się na Krym, a przy okazji zrobisz tam rewolucję. Krym powinien stać się takim samym bastionem rewolucji, jak Kronsztad".

Sytuacja polityczna na Krymie była skomplikowana. W Jałcie panoszyła się arystokracja i burżuazja. W Sewastopolu i Symferopolu grasowali emisariusze Kiereńskiego. Eupatorię okupowali mieńszewicy.

Tarwacki zasłynął wkrótce jako płomienny trybun, mówca na wiecach w Gurzufie, Ałuszcie, Sewastopolu, Kerczu, organizator oddziałów czerwonej gwardii. Pomagali mu towarzysze z pracy podziemnej w polskim ruchu rewolucyjnym — Stanisław Nowosielski, członek SDKPiL od 1906 roku, działacz partii w Warszawie i na Lubelszczyźnie (pseudonim „Zielony") i Jan Bulewski, a także małżonka, Stefania Stańczyk-Tarwacka, członek partii od 1900 roku, nazywana przez towarzyszy z organizacji „Muchą".

Bolszewicy krymscy zdobyli władzę w styczniu 1918 roku, opierając się na marynarzach floty czarnomorskiej, robotnikach, chłopach i żołnierzach. Radziecka Republika Taurydzka przez dwa miesiące powstrzymywała nacisk wojsk niemieckich, które wtargnęły na Ukrainę.

NOWE „SONETY KRYMSKIE"

Tarwacki nie dożył zwycięstwa w wojnie domowej na Krymie. 24 kwietnia 1918 r. wraz z innymi komisarzami ludowymi Czerwonej Taurydy wpadł w zasadzkę, został ujęty i rozstrzelany przez białogwardzistów.

Autorom pracy „Śladami bohaterów rewolucji" udało się odnaleźć w Polsce ostatniego z czerwonych komisarzy Krymu, 75-letniego Feliksa Kosiarza (zmarł niedawno), który podał im nazwiska innych jeszcze polskich uczestników rewolucji w Taurydze — Edmunda Bucha, Edmunda Nowakowskiego, Stanisława Urbańskiego, Józefa Frankowskiego.

Feliks Kosiarz znajdował się w podziemiu willi „Gołąbeczka" w Ałuszcie, skąd biali wyprowadzili na egzekucję Jana Tarwackiego, Stanisława Nowosielskiego i innych komisarzy Taurydy. Przed śmiercią komisarze wznosili okrzyki: „Niech żyje rewolucja! Niech żyje wolna Rosja i wolna Polska". Czternastu jeńców nie zdążono rozstrzelać. Kiedy spodziewali się oprawców, w drzwi celi zabębniły kolby karabinów. Z okrzykiem: „Hurra!" wdarli się do willi czerwonogwardziści z Jałty i Sewastopola. Komisarzy polskich i zabitych wówczas razem z nimi towarzyszy — rosyjskich bolszewików — pochowano w bratniej mogile w Ałuszcie. Dziś wznosi się na niej obelisk. Pierwsze wyryte jest na nim nazwisko Jana Tarwackiego.

„Nikt już nie zwróci tow. Tarwackiego polskiej klasie robotniczej — pisał w nekrologu „Polski Kalendarz Komunistyczny" z 1920 roku — jednak proletariat polski z dumą i wdzięcznością zachowa pamięć o swym utalentowanym synu".

Pamięta o nim również Tauryda w 50 rocznicę Rewolucji Październikowej. O polskich rewolucjonistach napisano wiele serdecznych słów w pracach „Walka o władzę rad na Krymie" (Symferopol, 1957 rok), „Polscy internacjonaliści w walce o zwycięstwo władzy radzieckiej w Rosji" (Moskwa, 1965), w dzienniku „Kurortnaja Gazieta", którego redaktor, Michał Azirener, przygotowuje książkę o Radzieckiej Republice Taurydzkiej.

W Moskwie przy ulicy Nowokuznieckiej mieszka rodzina Jana Tarwackiego — jego żona „Mucha" i córka Irena, w której łóżeczku rodzice chowali w Odessie egzemplarze „Iskry" w czasie policyjnych rewizji.

W Krymskim Muzeum Krajoznawczym znajduje się specjalny dział, poświęcony udziałowi Polaków w walkach rewolucyjnych na Krymie. Niestety, większość dokumentów zniszczyli i rozgrabili Niemcy w czasie II wojny światowej.

RYSZARD BADOWSKI

ALEKSANDER BŁACHOWSKI

Z CYKLU: WSPOMNIENIA Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

ŚMIERĆ MUZYKANTA

Ludzie we wsi nazywali go „Muzykantem" lub „Krzywą Główką", w domu, kobiety między sobą mówiły „Stary". Kiedyś miał karbunkuł, kilka tygodni chodził z przekrzywioną głową, ścięgna się zrosły i tak pozostał. Dopiero dziś żona mu głowę wyprostowała. Leży na pościeli malutki, zeschły, skurczony. Zmarszczki wygładziły się. Wybielał. Wikta długo czekała na tę chwilę. Postarzała się w tym czekaniu, zamknęła w sobie, zacięła. Lata, długie lata żyła tylko po to, by zobaczyć go takiego bladego, bezwolnego, dostępnego. Ręce jej drżały, gdy objęła tę chłodnącą głowę i pokonując odrazę pomieszaną ze strachem, z dużym wysiłkiem układała ją prosto podpierając poduszkami. Już ją nie cieszyła myśl, że wreszcie doczekała. Chłód szedł od tego ciała, którego tak naprawdę nigdy nie poznała, które zawsze było jej obce, twarde, kanciaste. Ani jednego miłego wspomnienia. Kiedy ją brał, czynił to z taką samą siłą i bezwzględnością, z takim samym twardym wyrazem twarzy, jak przy młócce lub ustawianiu półkopków przed burzą. Nie miała z tego nic, co może mieć kobieta. Potem nosiła dziecko, rodziła, a po jakimś czasie on znów przychodził pod jej pierzynę i znów odsuwał się i zasypiał w chwili, która niosła ją w ciemność pełną przeczuwanych gwiazd. Nigdy nie poczuła tej ciemności całej, a gwiazdy gasły przed zapaleniem.

Teraz leży, zdany na łaskę i niełaskę tych, których nie umiał kochać, i którzy jego nie mogli pokochać. Nic nie zostało w nim z „kmiecia", pana dwudziestoczteromorgowej gospodarki i władcy wszechmocnego rodziny. Dawna duma, pogarda dla „dziadów", pewność siebie, wszystko to, co uważał za przynależne sobie, najbogatszemu gospodarzowi we wsi, co w jego mniemaniu było nienaruszalne, w ostatnich latach rozsypywało się w gruzy.

Umarł dużo wcześniej. Dziś już tylko stygło ciało.

Wikta przytuliła do siebie dwoje wnuków. Bała się dotykać ich główek tymi samymi rękami, którymi przed chwilą prostowała zmarłego. Chciała jednak jak najszybciej pozbyć się chłodu jaki czuła w końcach palców. Dzieci patrzyły szeroko otwartymi oczami na łóżko. Dziwiły się, że wolno im być tak blisko dziadka, którego nos śmiesznie wystawał z poduszek. Nie rozumiały, choć czuły, że stało się coś, co nakazuje ciszę. Czekały na krzyk dziadka — „won najduchy"! — ale dziadek milczał. W drzwiach zaczęli gromadzić się sąsiedzi. Chcieli zobaczyć jak „Muzykant" wygląda po śmierci. Stali wśród szeptów, wciąż onieśmieleni domem, do którego nigdy przedtem nie wchodzili.

Wikta ogarnęła wnuki i lekko popychając wyprowadziła na podwórze wypełnione majowym słońcem.

— Bawcie się grzecznie do wieczerzy.

Dzieci chwilę stały niezdecydowane, ale gdy zza ganku wyłonił się szary pyszczek kota, biegiem ruszyły w jego stronę.

Ten kot był ostatnią przyczyną śmierci Starego.

Po odejściu Stacha na własne, w domu zostały Maryśka i Weronka, która jako najmłodsza miała odziedziczyć chałupę z obejściem. Chociaż była ładniejsza od Maryśki i zalecali się do niej najbogatsi chłopcy we wsi, musiała czekać, aż starsza siostra wyjdzie za mąż i zbuduje własny dom. Tak postanowił Stary i od tej decyzji nie było odwołania. Kilka razy przychodzili swaci do Maryśki, lecz on odprawiał ich na ganku, nawet do izby nie wpuszczał. Nie reprezentowali odpowiednich kandydatów. Płynęły lata, Maryśka płakała, matka coraz nienawistniej patrzyła na męża. Aż wreszcie zgłosił się właściwy kandydat. Bogacz, nazywany „Mądralą", bo miał chodzić do szkół, tylko wojna w tym przeszkodziła.

Po długich targach ustalono podział ziemi, plac pod dom, drzewo na budulec. Ale, gdy już wyszły zapowiedzi i nie można była bez wstydu cofnąć ślubu, Mądrala oświadczył, że nie zgadza się, by syn zamieszkał u „Muzykanta" do czasu zbudowania własnej zagrody. Nie chciał utracić rąk do pracy. Stary też nie zamierzał oddać córki do

Muzeum powozów w Łańcucie
FOT. Z. POSTĘPSKI

Okruchy historii

TATARZY POD RZESZOWEM

Od 1585 r. Łańcut był miastem ufortyfikowanym. Nie stało się to za sprawą mieszczan, lecz Stadnickiego, „wiecznego" awanturnika. Świadomość mieszczan, że Łańcut w tym czasie znajdował się tak daleko od południowo-wschodnich granic państwa, dawała im beztroskie poczucie bezpieczeństwa. Ale pod tym względem mieszczanie Łańcuta jeszcze przed „panowaniem" Stadnickiego wykazywali więcej zrozumienia aniżeli Rzeszowa, którego niespodziewany napad Tatarów w roku 1624 zastał bez urządzeń obronnych. Jeśli Rzeszów, wyjątkowo, nie podzielił losu Łańcuta, Przeworska i setek innych miejscowości, to tylko dzięki temu, że Ligęza był wówczas w mieście, a raczej w zamku, z nadwornym swoim wojskiem i nie dał się zaskoczyć. Zdecydowaną postawą nie wpuścił do otwartego miasta kosookich napastników.

Przeczytajmy jaki los spotkał w ym nieszczęsnym roku Łańcut:

„Roku pańskiego 1624... w Oktawę Bożego Ciała wpadli Tatarowie na Podgórze, aż po Krosno, ludzi wyścinali, drugich z żonami i dziećmi z sobą zabrali, bydło, konie z sobą wziąwszy, majętności popalili... (w Łańcucie) akta ze skóry odarli i z pismem z obuch stron, dwoje ksiąg starych, które od trzechset lat pisane były niemiecką mową w niwecz obrócili, iż ich już należć nie mogą. Teraz te księgi przeze mnie Simona Gbaura obrušnika, mieszczanina łańcuckiego są renowane i naprawiane, a daj Boże abyśmy wszyscy takiego okrucieństwa i plagi nie mieli i nie doczekali... Simon Gbaur".

Wykształconym człowiekiem musiał być ten łańcucki mieszczanin i rzemieślnik, kiedy pełnił odpowiedzialną funkcję pisarza miejskiego.

Zniszczenia i straty, spowodowane przez Tatarów w roku 1624 były rzeczywiście olbrzymie. Ogólnie tłumaczy się to tym, że Tatarzy zjawiali się niespodziewanie, Ligęzy jednak nie zaskoczyli, miasta nie zajęli, mimo że przeciwstawił się napastnikom niewielkimi siłami. Otóż Tatarzy najprawdopodobniej woleli walki nie podejmować, jeśli zaskoczenie się im nie udało i ruszali dalej. Godna podziwu była dzielna i skuteczna obrona przez miejscowych chłopów niezbyt silnie ufortyfikowanego kościoła w Nowosielcach koło Przeworska. Nowosielskie fortyfikacje, uzbrojenie załogi i jej liczebność były niewątpliwie o wiele słabsze od podobnych urządzeń w Łańcucie na przełomie XVI i XVII wieku. W dodatku ani w Nowosielcach, ani też w Rzeszowie prawdopodobnie nie czuwał „wieczny trębacz", jak to miało zazwyczaj miejsce w Łańcucie; co się więc stało, że miasto zostało zajęte i potwornie złupione?

Na podstawie uniwersałów, rozsyłanych przez polskich hetmanów na wiosnę 1624 roku, a zapowiadających możliwość najazdu Tatarów, mieszkańcy ziem południowo-wschodnich powinni mieli mieć się na baczności. Ostrzegał również i Ligęza. Czyżby Łańcut, mający roztropnych mieszczan był tak beztroski, że nie dał posłuchu licznym ostrzeżeniom?

Od owego nieszczęsnego roku należy cofnąć się wstecz o lat 14, a więc do roku 1610. W tym to roku po wieloletniej wojnie, Opaliński, starosta leżajski ostatecznie pokonał Stadnickiego, swojego śmiertelnego wroga. Zwycięskie wojska pana Łukasza, jak stwierdza Łoziński, zajęły zamek i miasto. Zamek nie tylko złupiły doszczętnie, ale i zburzyły. Można przypuszczać, że przy tych porachunkach niezgorzej oberwało się i miastu. Ponieważ Stadnicki miał syna, który w przyszłości mógł pójść w ślady ojca, należy przypuszczać, że również fortyfikacje łańcuckie zostały zburzone, a broń zabrana. Kto wie czy nie zniszczono również miasta, a zubożali mieszczanie nie podjęli już robót fortyfikacyjnych, skąpiąc wydatków na uzbrojenie, zwłaszcza że przykładem mógł być dla nich sąsiedni beztroski Rzeszów.

W 1672 r. znów miał miejsce niespodziewany napad Tatarów, który dotarł aż w pobliże Rzeszowa. Mieszkańców wielu miejscowości, zapewnie nauczonych już przykrym doświadczeniem, bo podobny napad jak w 1624 roku miał miejsce w roku 1648, nie dało się zaskoczyć. Dokładną relację zdał potomnym pisarz miejski Kańczugi, organista Stanisław Jurkiewicz. Mieszczanie kańczudzcy początkowo dali napastnikom skuteczny odpór, ale następnie ulegli panice i masowo z miasta uciekli. Nie mogą się już kierować „ani do Przeworska, ani do Łańcuta, gdzie dojście też już było wątpliwe, udali się w lasy, gdzie ich też orda jako grzyby zabrała". Po tym zajściu w Kańczudze została jedna trzecia mieszkańców.

Jurkiewcz, mówiąc o fortecach pod adresem Przeworska i Łańcuta, co mógł mieć na myśli: ufortyfikowane miasta?... zamki?

Jeśli chodzi o Łańcut, najprawdopodobniej — nie miasto, ale zamek Lubomirskich, zbudowany przez nich już według najnowszych zasad i uchodzących za jeden z „najsilniejszych" w Polsce. Ale też nie można wykluczyć, że i Łańcut po nauczce w 1624 r. zabrał się energicznie do roboty i nie żałując kosztów znów stał się fortecą.

FRANCISZEK KOTULA

Mądrali, bo była silna i robotna. Zaraz po weselu przepędził zięcia i zabronił mu przychodzić do Maryśki. Liczył na to, że młoda krew skłoni Antka do zamieszkania z żoną. Ale temu z kolei ojciec zagroził wydziedziczeniem, jeśli pójdzie do Muzykanta.

Maryśka stoi przy piecu i rękami trzyma brzuch pod zapaską. Pod palcami czuje ciepło, wodzi po wzgórku, który kryje jeszcze jedno. Może to jest główka? Ciągle męczy ją pytanie: czy wreszcie chłopak?... Teraz będzie rodzić bez strachu przed Starym. Jeszcze raz patrzy na łóżko. Może on tylko udaje?... Może to jest początek tej z dawna obiecywanej rozprawy? Lata całe obmyślał zemstę, najpierw wykrzykiwał groźby, a potem syczał przy uchu, dławił się nienawiścią.

Matka położyła przedwojenne dziesięciozłotówki na oczy. Nie odmyka. To chyba naprawdę. Nie będzie kłuł tymi małymi, zimnymi ślepiami. Przyszli sąsiedzi. Wypada płakać. Podnosi fartuch, zasłania suche oczy i wychodzi. W progu stoi Antek. Bierze ją za rękę, prowadzi do komory. Siadają na łóżku i milczą. Ta komora, to łóżko... Ile razy poduszką dławiła krzyk, ile razy zaciskała zęby na Antkowej koszuli, by głośno nie jęknąć, gdy przychodziła ta chwila, by nie zdradzić, że on tu z nią...

Wtedy, po ślubie, co mieli robić?

Maryśka nocowała w komorze. W nocy rozlegało się ciche pukanie w małe okratowane okienko, potem ostrożnie, cichutko otwierała drzwi. Antek cieniem przemykał do komory. Przed świtem ukradkiem wychodził. Schadzki odbywały się często. Aż którejś nocy Stary usłyszał. Może to było wtedy, kiedy już nie mogła wytrzymać i zaniosła się... Może wtedy wychodził na dwór za potrzebą?

— Do roboty cie nimo najduchu! — krzyczał — a do łóżka leziesz? Won tamoj skądeś przyszoł!

Za uciekającym w popłochu zamknęły się drzwi, a w komorze słychać było bicie i pokorny płacz. Przez kilka nocy panowała cisza, a potem historia powtórzyła się. Wreszcie, przy którejś z rzędu awanturze Weronka siłą powstrzymała pięść ojca.

— Tato! Ona już nie sama! Bo co złego zrobicie!

W kącie płakała Wikta, niezdolna sprzeciwić się woli męża. Jej też dostały się razy przeznaczone dla córki.

W miarę jak Maryśka grubiała, Stary ponurzał. To był bunt. Jawny bunt! Burczał na kobiety z lada powodu, lecz one pracowały solidnie, jakby nic się nie stało. I to powiększało tylko jego bezsilną wściekłość.

To, co rosło w brzuchu córki bez jego zgody, ba! wbrew jego woli, było pierwszym sygnałem upadku starych obyczajów, oznaką łamania odwiecznych praw. Żylasta ręka, którą zawsze wymierzał swoją sprawiedliwość musiała czekać. Bić! Bić do imentu! A jak zachorze? Kto będzie robić? Jeszcze jednego dziada darmozjada trza będzie najmować. Oni tylko czekają, by nakarmić swoje głodne pyski jego ziemniakami. Lepiej dać świni. Zostanie w gospodarce. Zaciskał pięść, nosił ją jak obuch. Czuł w palcach swędzenie. To, co mógł przyłożyć Wikcie, nie przynosiło ulgi. Ona nie uchylała się. Skulona czekała na cios i patrzyła bez słowa. Nie znosił tych jej oczu. Ciemne, zasnute mgiełką uległości i pokory, kryły jakieś niedociecżone myśli. Czasem chwytał spojrzenie Wikty, od którego mróz szedł po krzyżu. Weronka była zwinna. Ją uderzyć było trudno, a tak po prawdzie to nie było za co. Na robotę rzucała się z pasją i nie trzeba jej było poganiać. Za chłopakami nie latała. Cierpliwie czekała swojej kolejki. I jeszcze te papiery... Weronka była najsprytniejsza, najlepiej umiała czytać, najlepiej umiała liczyć przy sprzedaży czy kupnie. Stary nienawidził zadrukowanego papieru. Nie umiał czytać, nie odróżniał cyfr ani pieniędzy. Wszelkie pisma urzędowe przyprawiały go o wściekłość, gdyż zawsze dopatrywał się w nich oszukaństwa. Obowiązkowe dostawy i świadczenia traktował jako rzecz bolesną, ale nieuniknioną. Było mu obojętne, komu oddaje haracz, oby tylko był jak najmniejszy. Jego dziad i ojciec musieli znosić pańszczyznę, płacić podatki, odrabiać szarwarki i on uważał, że taki już los chłopski: „pracować na darmozjadów". Nie odróżniał władzy niemieckiej od polskiej, tak jak nie rozróżniał marek od złotych. Obojętne mu było czy na pieczątce jest orzeł czy jakiś połamany krzyż. Dla niego okupacja hitlerowska była tylko zmianą reżimu.

Teraz bał się, że Weronka może go oszukiwać w zmowie z matką i siostrą. Ten nowy strach mieszał się z tym, co wciąż nie mieściło mu się w głowie: porządek rzeczy od początku dyktowany przez niego napotkał sprzeciw kobiet? Niech no Maryśka urodzi. Już ja się z nią i z tym najduchem Mądrali policzę. Już ja im zapłacę za ten czas bezkarny, za to czekanie.

Maryśka rodziła we żniwa. Stary spał na sianie nad oborą. Do domu nie przychodził. Dziecięcy skrzek dobiegający z izby brzmiał, jak naigrywanie. Ten najduch z „nieprawego" stosunku drwił sobie głośno z zasad rządzących dotąd światem Muzykanta. Stary nienawidził tego dziecka. Nigdy nie spojrzał w jego stronę. Dla niego ono nie istniało. Nie miało prawa istnieć.

Jakiś czas po chrzcinach, które odbyły się w domu Mądrali, znowu zaczęły się nocne schadzki. Stary stał się czujny i napięty. Zrozumiał, że uległe dotąd i milczące kobiety przygotowują nowy, podstępny atak. Czuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg, że jego ciosy zadawane coraz częściej powodują tylko płacz żony i wzmagają opór córek.

— Jak mi jesce roz wlezies do komory na noc — zabije! — rzekł do Maryśki i wskazał siekierę.

— Tero Weronka mo tamoj spoći

Liczył, że groźba odniesie skutek, nie zauważył więc, że siostry nocą zmieniały miejsca. Milczenie żony traktował jako pogodzenie się z jego wolą. Zanim się spostrzegł Maryśka chodziła z drugim dzieckiem.

To przekraczało jego wyobraźnię. Nie zrobił awantury. Nie bił nikogo. Zamknął się w sobie i nie odzywał. Godzinami łaził po zagumniach do nocy. W świąteczne dni stawał pod stajnią nieruchomo i patrzył na

rys. J. SIENKIEWICZ

sadzawkę gnojówki zajmującą środek podwórza. Duszę żarła mu rozpacz i pragnienie zemsty. Były dnie, że pracował z zaciekłością. Chciał upewnić się, że ma jeszcze siłę, że jeszcze nie jest stary, lecz coraz częściej napotykał kąśliwy, drwiący wzrok Weronki. Tej najmłodszej, którą może jedną, jakoś po swojemu, skrycie lubił za jej wesołość i gotowość do każdej roboty. Jej jednej pozwolił dłużej chodzić do szkoły. Aż do szóstej klasy. Jej jednej kupił kiedyś na jarmarku korale. A dziś... ona... czeka tylko na jego śmierć, na jego koniec? Duma nie pozwoliła mu poddać się. Kto go ma pokonać? Najduchy? Zasrane bachory co bekiem napełniają dom? I baby? Niedoczekanie! Niedoczekanie.

Sucha twarz zapadła się. Zmarszczki pogłębiły się i pokryły resztę skóry. Na dnie szarych, stalowych oczu kryło się dzikie cierpienie. Jedna tylko myśl kołatała się w zaczadziałym nienawiścią mózgu — jo jem dom, jo jem esce pokoże. Spole, ubije. Jo tu pon. Jo!

W maju Maryśka zległa. Choć było jeszcze zimno Stary wyniósł się do stajni. Tam spędzał wolne od roboty chwile. Gadał do koni, gładził ich pyski, podtykał sieczkę. Czasem koń mu już zjadł wszystko z ręki, a on stał dalej i patrzył na swoje palce, kurczył je i rozkładał, jakby nie wierzył, że to jego.

Z wiosną zawzięcie naprawiał płot. Wbijał nowe kołki, zatykał najmniejsze szpary, by nikt nie dojrzał co działo się w jego zagrodzie. Ten płot, co roku skrupulatnie łatany, bez żadnej szczeliny dla intruzów otaczał jego integralne terytorium, jego królestwo odziedziczone po ojcach. Teraz kołkami ratował swoje panowanie. Odcinał się od świata przygotowując ostateczną rozprawę z buntem.

W lipcu przeszedł front. A potem dziady brały dworską ziemię. Do żniw nie było robotników. Musiał sam z kobietami. Nie wiedział co się dzieje, ale wyczuł raczej niż zrozumiał, że nie pora na wojnę domową. Do wykopków znów nie było chętnych. Musiał zgodzić się na pomoc córek w gospodarstwie Mądrali, za co zięć przyszedł ze swoimi na jego morgi. Inaczej ziemniaki zostałyby na polu.

Bunt kobiet był teraz mniejszym niebezpieczeństwem. Coś nieznanego, lecz potężnego zagrażało jego państwu. Czuł, że zamyka się jakaś pułapka, że świat stanął na głowie, że cały porządek rzeczy wali się i znikąd ratunku. Nienawiść do żony, córek i wnuków powiększyła się o nową, zaprawioną strachem nienawiść do tych, którzy ostatecznie podważali prawa, jego prawa, kmiecia z kmieciów, najsielniejszego we wsi. Mózg Starego nie mógł znieść tego uderzenia. Nie wytrzymywał wściekłych myśli, które zalewały krwią, żrącą mgłą zasłaniały oczy. Głowa pękała, a lewy bok coraz częściej pulsował bólem, że dech zapierało.

Jednego z tych majowych dni, które proszą o uśmiech, stał przed chałupą i osłaniał oczy od słońca, co wciskało się przez strzechę brwi, szukał cienia, by spocząć po obiedzie. Wtedy dojrzał wnuczka ciągnącego jakiegoś kota przybłędę. Wnuczek wołał:

— Mamo mlecka, daj mlecka, kotek chce mlecka.

Stary osłupiał. Nie dość, że korzystają z jego krwawicy, bachory, najduchy Mądrali, to jeszcze kotów darmozjadów im się zachciewa!? Nie! Dość! Basta! Rzucił się na dziecko, obalił na ziemię i sięgnął po kota... Ostry ból zakręcił w środku, palce nie dały się zacisnąć na szyi zwierzęcia, potem wszystko zawirowało czarnym wichrem i w drgawkach legł przed progiem.

Przytomności już nie odzyskał, nie widział więc oczu Wikty, z których wyzierała zgroza pomieszana z triumfem.

Z prasy radzieckiej

„LITIERATURNAJA GAZIETA" ROZMAWIA Z ALEKSANDRĄ ŚLĄSKĄ

„Litieraturnaja Gazieta" w serii wywiadów z zagranicznymi działaczami kultury przeprowadziła rozmowę z Aleksandrą Śląską. Polska artystka poinformowała o swych obecnych pracach. Wystąpi wkrótce w widowisku telewizyjnym „Czarna suknia", opartym na opowiadaniu Stanisława Wygodzkiego pod tym samym tytułem. Weźmie również udział w dwóch sztukach teatralnych. Są to: „Pokojówki" Geneta oraz „Śmierć Marata" Petera Weissa.

TADEUSZ ŁOMNICKI ODPOWIADA

Dwutygodnik radziecki „Sowietskij Ekran" rozpisał ankietę wśród artystów filmu z całego świata, dotyczącą m. in. problemów współczesnej sztuki filmowej. Wśród pierwszych czterech opublikowanych wypowiedzi znalazła się nadesłana przez polskiego aktora Tadeusza Łomnickiego.

NA WPROST

Wiele hałasu o nic

Moda na big-beat mija — mówi się w „Estradzie" rzeszowskiej. Niedawno gościł w naszym województwie renomowany zespół mocnego uderzenia — „Polanie" i były kłopoty ze sprzedażą biletów. W niektórych, nawet dużych miastach, jak np. w Dębicy występ w ogóle się nie odbył, gdyż brakło chętnych. Fala młodzieżowej muzyki opada — twierdzą właściciele sal wynajmowanych na koncerty — młodzi słuchacze łamią obecnie tylko po kilka krzeseł z entuzjazmu, podczas gdy dawniej łamali po kilkanaście. Mniej niszczą również odzieży na sobie.

— Staramy się obecnie uprawiać big-beat kulturalny, stonowany, w którym jest więcej muzyki a mniej hałasu — uspokajał nas w grudniu na konferencji prasowej menażer Czerwono-Czarnych. — Czynią to wszystkie ambitniejsze zespoły mocnego uderzenia w Polsce. Mamy zresztą tę wielką zasługę, że lansując w kraju wszystkimi dostępnymi środkami (tygodniki młodzieżowe, radio, telewizja) muzykę nastolatków rozśpiewaliśmy głuchą dotąd młodzież. Dzięki nam zakupiono w Polsce ponad 300 tys. gitar. Nie nasza wina, jeśli młodzież źle się zachowuje na koncertach. Nasze zespoły jej do tego nie prowokują — zakończył.

Natomiast „Polanie", „Skaldowie", „Czerwono-Czarni" reklamują się, że mają najgłośniejsze w kraju urządzenia wzmacniające i że nikt ich nie zdoła zagłuszyć. A później w czasie koncertu, przegięci do tyłu lub prawie leżący na scenie walą w publiczność huraganowym ogniem decybeli.

Twierdzi się często, że cała młodzież dałaby się za big-beat posiekać na drobno i wszystkich przeciwników tej muzyki uważa za starych ramoli. Tymczasem 22-letnia dziewczyna z Przemyśla przysłała do redakcji list z opisem wrażeń z występu „Polan", w którym czytamy:

„...Nie da się tego opisać. Młodzież początkowo była spokojna, ale ten pozorny spokój trwał dosłownie parę sekund. Nie dość, że „Polanie" sami się „darli" na scenie, nie wiedząc, co śpiewają i jak śpiewają — to widownia im w tym pomagała. Nigdy nie byłam w domu wariatów w Jarosławiu, ale na pewno ci ludzie chorzy tak się nigdy nie zachowują, jak nasza „kochana młodzież" ...z wczorajszego „widowiska błaznów" wysuwam jeden wniosek, że pedagodzy, rodzice i opiekunowie spokoju, naszego miasta zachowują się jak ludzie niemi i głusi".

Mógłbym tu jeszcze wiele najzupełniej sprzecznych z sobą opinii przytoczyć i mimo to nie doszlibyśmy do jednoznacznej konkluzji. Zjawisko bigbeatomanii ma wiele aspektów — jest skomplikowane — jego źródłami zajmują się na Zachodzie socjologowie kultury, zwłaszcza kultury masowej.

Popularność tej muzyki można tłumaczyć tym, iż jest łatwa — nie wymaga od odbiorców ani wyrafinowanej kultury muzycznej, ani nawet szczególnej wyobraźni, wrażliwości i słuchu. Jej prymitywizm może młodych pociągać. Jest to również zjawisko ekonomiczne, które sprytnym menażerom lansującym ten styl muzyki oraz bożyszcza big-beatu i celowo rozdmuchującym namiętności przez mocne uderzenie reklamowe — przynosi niezłe zyski. Dlatego niezupełnie przemawia mi do przekonania „gawęda" o społecznej służbie w dziedzinie umuzykalnienia młodzieży również i naszych mecenasów „muzyki nastolatków". Finansowych strat przy tym nie ponieśli.

Ale ośmielę się stwierdzić, że ci, którzy lansowali u nas big-beat również od razu kształtowali styl odbioru tej muzyki. Chodziło o wywołanie powszechnej fali snobizmu na europejskość, spontaniczność, żywiołowe wyładowywanie się temperamentu przy dźwiękach elektrycznych gitar ze wzmacniaczami. To dawało gwarancję, że nawet młodzi głusi jak pień będą entuzjastami mocnego uderzenia, bo będą przy nim mieli okazję się wyszumieć. Wyświetlało się u nas filmy ukazujące zbiorowe ekstazy na występach tego typu w Anglii czy Ameryce; wiele i z pobłażaniem, a nawet zrozumieniem pisało się o ekscesach w salach koncertowych, pokazywało się ten styl w telewizji i to pomogło. Młodzież u nas uwierzyła, że tylko tak można i trzeba słuchać big-beatu, by nie uchodzić za parafian. Stąd demolowanie sali na koncercie Czerwono-Czarnych w Lubaczowie, czy Sarzynie.

Stąd także tyle sporów, dyskusji, a nawet fanatycznego zacietrzewienia budzi u nas big-beat i to obecnie nie wśród twórców przemysłu rozrywkowego, krytyków muzycznych czy na łamach centralnej prasy, lecz wśród ludzi, którzy realizują na dole politykę kulturalną. Tu bowiem to zjawisko nie przestało być modne. Powstają dziesiątki amatorskich zespołów mocnego uderzenia. Rozmaite „Halniaki", „Warchoły", „Klepiska", „Tarpany" zjeżdżają się często na gitariady czy festiwale muzyki młodzieżowej, organizowane nawet na „szczeblu" powiatu i przywożą niewiele więcej oprócz dobrych chęci i głośnej aparatury.

Jedni kierownicy klubów, domów kultury czy świetlic opiekują się nimi i dostarczają instrumentów, firmując ich działalność — inni widzą w big-beacie gangrenę moralną, źródło deprawacji młodzieży i objaw złego smaku muzycznego. Są tacy, którzy organizują z wysiłkiem np. „Gitariadę Podkarpacia" i agitują domy kultury do wysłania swoich zespołów na tę imprezę przypominając, iż

"...jednym z najważniejszych punktów programu działalności kulturalno-oświatowej jest zaspokajanie potrzeb społeczeństwa, a przecież młodzież stanowi obecnie grubo ponad 50 proc. naszego społeczeństwa. Czy więc można ją pominąć?!".

I są również tacy, którzy sądzą,

„że tak poważne instytucje jak Wydział Kultury Prez. PRN i POIM mają poważniejsze zadania i powinny się zająć przygotowaniem kulturalnej rozrywki dla młodzieży, a nie popierać działalności, która nas kompromituje i dyskredytuje w oczach społeczeństwa. Ono ma już powyżej uszu tych dzikich orgii tolerowanych w poważnych placówkach k.o.".

Zdaniem autora pisma

„...impreza ta z kulturą niewiele ma wspólnego — wyzwala tylko dzikie instynkty, a nie reprezentuje odpowiedniego poziomu artystycznego"...

Muszę się zdeklarować. Nie jestem zwolennikiem big-beatu i nie potrafię odnosić się tolerancyjnie do reakcji imbecyli na decybele. Ale nie sądzę również, by warto było tę muzykę tępić ze względów ideologiczno - pedagogicznych, czynić z niej męczennika i zmuszać do zejścia w konspirację. W naszym szerokim nurcie amatorskiego ruchu winno znaleźć się także miejsce dla „mocnego uderzenia".

Doświadczony instruktor muzyczny, rozsądny kierownik klubu potrafią wykorzystać mądrze zapał do gitary u nastolatków i z biegiem czasu uczynić ich miłośnikami bogatszej i trudniejszej muzyki. Nie wolno tylko rezygnować z działalności wychowawczej, kierując się wyłącznie osobistymi fobiami i awersjami, zamykać drzwi placówki przed big-beatem. Nie chcę tu używać nieco demagogicznego argumentu, że lepiej by młodzi ludzie wyżywali się z gitarą na estradzie niż w knajpie lub w rozróbkach ulicznych, gdyż skądinąd wiadomo, że jedno drugiemu nie przeszkadza. Wzorowy uczeń w szkole potrafi nieźle rozbijać kioski. Ale lepiej mieć zwolenników mocnego uderzenia pod okiem — przynajmniej w tym czasie, gdy biją w perkusję, nie biją szyb lub bliźnich.

Nie warto więc powodować się rozpalonymi emocjami, skoro mamy to za złe młodym i nie otwarzajmy z nastolatków męczenników mody i stylu. Moda i styl przeminą, a osamotnienie klubu, który odetnie młodych od siebie po zostanie.

JOTGIEL

Wszystkie cytaty pochodzą z listów i pism urzędowych łaskawie udostępnionych przez czytelników i pracowników k.o. felietoniście.

◆ Dyskusje ◆ Korespondencje ◆ Polemiki ◆ Dyskusje ◆ Korespondencje ◆ Polemiki ◆

Kontynuując dyskusję zapoczątkowaną artykułami red. Krystyny Świerczewskiej „Wojna domowa i ptaszki" oraz „Cennik autorytetu", drukujemy dalsze fragmenty wypowiedzi. Korespondencję prof. dyr. Zofii Kolanko zamieszczamy bez skrótów.

Redakcja

Fot. J. ŻAK

DO PRZEMYŚLENIA

Artykuł w „Widnokręgu" nr 8 z 19 lutego br. pt. „Cennik autorytetów" wymaga przedyskutowania. Po interesującym wstępie o konieczności wykorzystania telewizji przy nauczaniu, zbliżenia młodzieży do teatru, nauczania odbioru wartościowego filmu, następują nieoczekiwane dygresje i wnioski. Poruszono sprawę źle przygotowanej nauczycielki, która jak wynika z zarzutów, uczy różnych przedmiotów jak języka polskiego, geografii a może też i innych przedmiotów,i jeżeli się nie doucza i nie jest dość zdolna może niektórych rzeczy nie wiedzieć. Jakie nieoczekiwane rozwiązania sprawy „panią przeniesiono do innej szkoły co mądrzejsze domy odetchnęły" a „co mądrzejszy dom milczał" kiedy nauczycielka podawała błędne informacje lub czegoś nie wiedziała. Ogromnie dziwi to milczenie mądrzejszych domów chyba, że ma to być klasyczny przykład konformizmu. Albo też chodzi autorce artykułu o to, że w tym „mądrzejszym domu" nie podrywano zachwianego autorytetu nauczycielki, co zresztą było rzeczą niesłychanie trudną, bo przecież musiano błędy poprawić.

Zupełnym już nieporozumieniem przeniesienie nauczycielki do innej szkoły. Czy oznacza to, że przeniesiono ją do takiej szkoły, gdzie nie ma „mądrzejszych rodziców", a jeżeli są to co będzie z dziećmi z tamtej innej szkoły i z tamtymi „mądrzejszymi domami", nie mówiąc już o tym, że tego rodzaju określenie może budzić poważne zastrzeżenie, ale jest rzeczą oczywistą, że to nie jest załatwienie sprawy, bo dążymy do tego aby wszystkie szkoły miały dobry poziom. Panią trzeba przenieść do innej pracy, może b. łatwej biurowej — takiej, która większego wysiłku intelektualnego nie wymaga, oczywiście po załatwieniu sprawy drogą służbową — kiedy mądrzejsze domy przestaną milczeć.

Podobnie przedstawia się sprawa ocen poruszona w omawianym artykule przez autorkę, która pisze: „miast wystawić mu piątkę po wsze czasy" nauczyciel pyta i stawia uczniowi ocenę dobrą lub nawet dostateczną, biorąc pod uwagę zachowanie się ucznia. Chodzi o ucznia, który w danym przedmiocie przerasta wiadomościami poziom klasy. Sprawa oceny jest bardzo skomplikowana, trudno o niej wyczerpująco pisać w tak niesprecyzowanej dyskusji, ale z całą pewnością z tą radą nie można się zgodzić, bo i ten „piekielnie" zdolny musi odpowiadać pewnym rygorom, musi dobrze prowadzić notatki, dobrze się zachowywać, a nie przeszkadzać swoim mniej zdolnym kolegom, a wymagania mogą być nawet wobec niego zwiększone. Zresztą ta sprawa jak sama autorka stwierdza wymagałaby osobnego artykułu.

Podobnie sformułowanie „jakich mamy nauczycieli — taką możemy mieć młodzież" jest dyskusyjne. Nauczyciele to grupa społeczna bynajmniej nie wyizolowana, to ludzie ciężkiej codziennej pracy — nie żyjący w dobrych warunkach materialnych, nie mają wcale możliwości stałych kontaktów kulturalnych na wysokim poziomie. Nie wiem, czy autorce znany jest fakt ucieczki z zawodu nauczycielskiego, wynikającej z nadmiaru pracy, kontroli społecznej, o czym zresztą autorka mówi — wirąc anie się ludzi, którzy są nawet ignorantami w sprawach pedagogicznych, przy nieunormowanym czasie pracy. O ile w innym zawodzie praca poza godzinami obowiązkowymi jest osobno i należycie wynagradzana, nauczycielom stawia się tylko wymagania — oczywiście tak przyziemne sprawy jak wynagrodzenie nauczycieli nie budzi zainteresowania.

Wracając do postawionego przez autorkę stwierdzenia należy mu dać właściwe brzmienie „że taką mamy młodzież, jakie jest społeczeństwo, a nauczyciele, to część tego społeczeństwa.

Jak najbardziej słuszną jest natomiast sprawa noty ze sprawowania i była już dyskutowana w pismach pedagogicznych. Bardzo dobra ocena ze sprawowania nie powinna być regułą, lecz odpowiadać normom stawianym z przedmiotów i to przez wymagających nauczycieli. Otrzymać ją powinien uczeń, który kulturą, formami towarzyskimi, pilnością, porządkiem, higieną, korzystnym wpływem na kolegów — na taką ocenę zasługuje. Większa rozpiętość ocen ze sprawowania, to istotna konieczność.

Podobnie jak najsłuszniejsze jest żądanie odpowiedniego wyzyskania dużej przerwy. Klasy powinny być w tym czasie puste, drzwi zamknięte a okna otwarte — uczniowie na świeżym powietrzu, nauczyciele wśród uczniów — nie jest to łatwo wyegzekwować — ale jest oczywiście konieczne.

Natomiast inne sprawy, których zresztą jak najsłuszniej autorka się domaga, mianowicie organizowanie popołudniowych spotkań przy telewizorze, prowadzenie uczniów na wszystkie wystawy BWA (podkreślono „wszystkie"), czytanie poezji, konkursy poetyckie, rozmowy o problemach moralności raz w miesiącu „głębokim popołudniem", co zdaniem autorki mogą wykonać nauczyciele przy „minimalnym" wysiłku, są pracami czasochłonnymi, wymagającymi wielu godzin pracy, a tym samym chyba osobnych pracowników.

Po nauczaniu dzieci w szkole i nauczaniu siebie, aby nie stracić autorytetu, poprawieniu im zadań, wykonaniu szeregu prac społecznych, do których jest nauczyciel niemalże zobowiązany, ma poprowadzić na wystawy BWA, na film, na koncert — o czym już nie mówiono przez przeoczenie, a ponieważ musi zrealizować program nauczania, więc wszystko to wykona poza godzinami pracy — jest nakładaniem tak licznych obowiązków, którym w pełni nikt nie jest w stanie podołać.

Oczywiście nie można nawet pomyśleć o tym, że nauczyciel może mieć i własne dzieci bo kiedy zająłby się ich wychowaniem i zaspokojeniem choćby najelementarniejszych potrzeb. Mąż lub żona, w zależności od płci, nie wchodzą w ogóle dla tych istot w rachubę, bo nawet na rozmowę nie ma czasu. Żyjąc w celibacie, musieliby mieć zapewnione mieszkanie, ubranie i wyżywienie. O przepracowaniu nauczycieli wiele się mówi i pisze — dochodzą przecież jeszcze udziały w różnych akcjach organizacjach itp. Natomiast niezmiernie doniosłą sprawą podnoszenia ogólnej kultury mogą się zająć uspołecznione jednostki „z tych mądrzejszych domów", dziennikarze, zwłaszcza ci z nich, których na „szczęście" ominął zawód nauczycielski. Tu leżą wielkie możliwości konkretnej pracy społecznej. Dla całych zespołów dziennikarzy, plastyków, literatów, ośrodków twórczych, tu są możliwości praktycznego, należycie zorganizowanego działania i wtedy oprócz żądań pod adresem nauczycieli mogłaby autorka podać jaki wkład pracy sama w tym zakresie dała.

ZOFIA KOLANKO

Przede wszystkim: właściwe współdziałanie

Z pełnym zadowoleniem przyjąłem hasło do dyskusji na temat profilaktyki wychowawczej rzucone przez Redakcję artykułem red. Krystyny Świerczewskiej, który jasno oświetlił kilka przynajmniej punktów problemu wychowania współczesnej młodzieży. Dyskusja taka jest na czasie między innymi i z tego powodu, że zbiega się tematycznie z odbywającymi się obecnie konferencjami nauczycielskimi.

Artykuł „Wojna domowa i ptaszki" jest moim zdaniem dobrze skondensowaną pigułką tego wszystkiego, co by się chciało powiedzieć rodzicom jako tym, którzy budują zręby przyszłej osobowości dziecka i tym sojusznikom rodziców, którzy z racji masowego oddziaływania kulturalnego na społeczeństwo, zaczynają się włączać coraz aktywniej w nurt wychowywania młodego pokolenia.

Z całokształtu zagadnienia, które jest zagadnieniem złożonym i rozległym wybrałem współdziałanie w wychowywaniu i na jego temat chciałem podzielić się swoimi uwagami, gdyż i ono wchodzi również w zakres profilaktyki wychowawczej.

Temat ten jako taki nie jest tematem nowym, ale gdy wziąć pod uwagę to, że krąg czynników wychowujących z rozwojem postępu powiększa się, widzimy, że współdziałanie w wychowywaniu nabiera nowych cech i właściwości, tworzą się nowe nie wykorzystane jeszcze dostatecznie ścieżki wychowania.

Wiadomo, że im bardziej złożoną budowę posiada maszyna, im więcej elementów wchodzi w jej skład, tym trudniej jest zestroić, zsynchronizować te elementy, aby zapewnić ich wzajemne współdziałanie. Podobnie ma się rzecz we współdziałaniu w dziedzinie wychowania. Wydaje mi się, że w epoce, w której funkcję wychowawczą oprócz szkoły i rodziców przyjmują również takie czynniki, jak organizacje młodzieżowe, społeczne i polityczne, film, radio, telewizja, prasa, zagadnienie należytego współdziałania właściwej korelacji i koordynacji w wychowywaniu, nabiera istotnego znaczenia. W związku z tym, aktualnym staje się pytanie, czy w chwili obecnej współdziałanie powyższych czynników jest właściwe i wystarczające. I tutaj właśnie nasuwają mi się pewne wątpliwości. Uważam np. za wielce dyskusyjną metodę publicznego odczytywania listów dzieci, oceniających krytycznie postępowanie rodziców i wychowawców, zastosowaną raz przez telewizję. Czy nie podważa ona czasami starej, ale mądrej zasady polegającej na tym, że nie powinno się wobec młodzieży oceniać postępowania rodziców i wychowawców?

Młodzież bowiem ma swój specyficzny sposób asymilacji, takich przychodzących z zewnątrz informacji i na swój sposób je interpretuje, zaś w tym wieku, kiedy psychika nie jest jeszcze dostatecznie ukształtowana, a doświadczenie życiowe równa się prawie zeru, interpretacja taka nie zawsze jest właściwa i sprzyjająca wychowaniu.

Jedna nieprzemyślana (bywają i b. dobre audycje) audycja radiowa czy telewizyjna, nie uczyni zła, ale ziarnko do ziarnka... i mamy później postawy w rodzaju: „jak żeście nas wychowali, takich nas macie", „tato nie ma do mnie podejścia", „nasza pani stawia niesprawiedliwe stopnie i źle uczy" itp. I co z tego, choćby w tych wypowiedziach była nawet prawda? Czy potrafimy wtedy skutecznie oddziaływać na dziecko, jeżeli jego najbliższe i konkretne autorytety zostaną mocno podważone, postawione w stan zwątpienia lub całkiem obalone, a innych autorytetów, wzorców czy bohaterów dziecku nie podsuwamy, lub podsuwamy bardzo skąpo? Nikt chyba nie sądzi, że mamy wystarczającą ilość filmów młodzieżowych przystosowanych do potrzeb psychicznych młodzieży. Za to młodzież posiada, praktycznie rzecz biorąc, dość duże możliwości oglądania filmów przeznaczonych przeważnie dla dorosłych, filmów o wątpliwej treści wychowawczej. Sytuacja taka istnieje np. w telewizji. Większość filmów (nie biorę tu w rachubę filmów naukowych, których liczba z roku na rok wzrasta pocieszająco) telewizyjnych, to filmy stare, nie związane z tematyką wychowawczą, a dostępne także dla młodzieży (rzadko bowiem podaje się od ilu lat jest dany film dozwolony) i wprowadzające młodzież zbyt wcześnie w świat ludzi dorosłych. W okresie dojrzewania powstaje więc luka nie wypełniona odpowiednią treścią i stąd później komplikacje z wychowaniem nastolatków.

Ponadto telewizja, niezależnie od swych wysokich walorów wizualnych, stwarza nowe, nieznane jeszcze dobrze w skutkach niebezpieczeństwo. Jest nim potencjalna możliwość odrywania młodzieży szkolnej od ukierunkowanej programem nauki i wprowadzanie w świat wiedzy nieuporządkowanej, chaotycznej, a czasami nawet niepotrzebnej dziecku w wieku szkolnym.

A kino? Nie wiem czy ktoś zwrócił uwagę na to, że często przed wyświetleniem filmu, dopuszczalnego również dla młodzieży poniżej 16 lat, wyświetla się dla reklamy tzw. migawki z innych filmów, które nie są odpowiednie dla młodzieży. Migawki takie, to sceny wybrane i czasami na ich widok robi się człowiekowi gorąco na twarzy, gdy pomyśli, że oglądają je również dziewczynki i chłopcy mający zaledwie 11 lub 12 lat. A przecież chodzi nam o to (jak to zauważyła w swoim artykule red. Krystyna Świerczewska), żeby przechodzenie ze świata dziecinnego w świat dorosłych było mądre i spokojne (dodam od siebie) płynne.

Tak to niestety bywa, że cywilizacja, postęp techniczny przynosi ze sobą i uboczne skutki, nie zawsze dające się natychmiast wyeliminować. Nie znaczy to jednak, że trzeba się z nimi godzić. Mądra koordynacja i współdziałanie na pewno pozwoli przynajmniej zmniejszyć do minimum rozmiary tych niekorzystnych dla wychowania skutków ubocznych, jakie niesie nam cywilizacja.

P.S.

Być może, że temat mojej wypowiedzi nie pokrywa się adekwatnie z życzeniem Redakcji. Brałem tę ewentualność pod uwagę, ale mimo to, pominąłem tym razem sprawy związane z moralnością środowiska, ponieważ wydawało mi się zawsze, że powyższy temat jest jakoś pomijany i przemilczany.

JAN SZELC
OLSZANICA

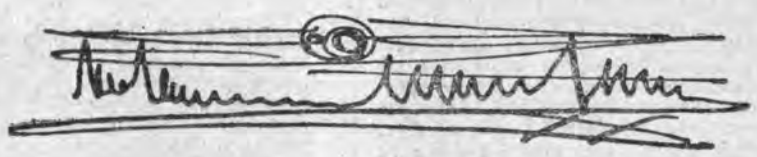

Tadeusz Kubas

Miecz Damoklesa

Od pieców krematoryjnych
do piekła napalmu
jest droga krótka

równa błyskowi miecza
nad czerepem globu

W inkubatorach
wylęgle gołębie
nieść mogą skrzynki
poszukiwań rodzin

Wartość i cena samodzielności

MINISTERSTWO KULTURY I SZTUKI, TYGODNIK KULTURALNY, PRZEGLĄD SOCJOLOGICZNY, POLSKIE RADIO I LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

ogłaszają konkurs pod hasłem

„WARTOŚĆ I CENA SAMODZIELNOŚCI"

Do udziału zaprasza się działaczy towarzystw regionalnych i lokalnych: miłośników regionu i miasteczek, ziemi i zabytków, koła i towarzystwa przyjaciół bibliotek i muzeów, koła i kluby przyjaciół i miłośników teatru oraz wielu innych dziedzin kultury i sztuki, członków komitetów budowy rozmaitych obiektów powstających w czynach społecznych, działaczy i członków organizacji młodzieżowych miast i wsi, członków rad społecznych, domów kultury, klubów książki i prasy oraz klubów rolnika, działaczy organizacji spółdzielczych, gospodarczych oraz komisje oświaty i kultury rad narodowych.

Forma wypowiedzi i wielkość prac dowolna. Mogą to być pamiętniki lub ich fragmenty, relacje i wspomnienia, o ile głównym ich problemem będzie praca społeczna. Chodzi o opisy udanych i nieudanych akcji społecznych wraz z analizą przyczyn powodzeń i klęsk.

Bliższych informacji udziela „TK" Warszawa, ul. Grzybowska 4/8, tel. 20-86-66.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 15 czerwca 1967 r.

Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi we wrześniu br.

Najlepsze prace, po uzgodnieniu z autorami, będą drukowane systematycznie na łamach „Tygodnika Kulturalnego" w miarę nadsyłania do redakcji. Autorzy prac drukowanych otrzymają należne im honoraria, niezależnie od nagród.

Przewidziane jest także wydanie publikacji książkowej, zawierającej najciekawsze wypowiedzi konkursowe.

NAGRODY

I — 8 tys. zł
dwie II — po 5 tys. zł
trzy III — po 3 tys. zł
oraz wyróżnienia po 1000 zł.

Prace należy nadsyłać pod adresem „Tygodnik Kulturalny", Warszawa, ulica Grzybowska 4/8.

O Laur im. Józefa Czechowicza

Już po raz drugi z kolei Wydziały Kultury Prez. MRN w Lublinie, Białymstoku, Rzeszowie i Kielcach przy współudziale Lubelskiego Klubu Literackiego i Wydawnictwa Lubelskiego ogłaszają Konkurs Literacki o Nagrodę i Laur im. Józefa Czechowicza. Jak w roku ubiegłym, obejmuje on swym zasięgiem cztery województwa: lubelskie, białostockie, rzeszowskie i kieleckie.

Na konkurs można nadsyłać utwory z zakresu poezji i prozy, przy czym każdy autor ma prawo składania prac w obydwu działach (dowolna ilość zestawów wierszy, po trzy wiersze w każdym zestawie opatrzonym innym godłem oraz dowolna ilość prac prozatorskich nie przekraczających 30 stron maszynopisu, również każda oznaczona godłem). Udział w konkursie mogą brać jedynie prace nigdzie nie opublikowane.

Przewiduje się trzy równorzędne nagrody w dziale poezji i prozy (I — 3 tys. zł, II — 2 tys. zł i III — po 1 tys. złotych oraz wyróżnienia). Termin nadsyłania prac upływa z dniem 30 VI br. Bliższych informacji udziela sekretariat konkursu: Wydział Kultury Prezydium MRN, Lublin — Zamek pok. nr 16.

Kultura w kraju i na świecie

WYSTAWA POLSKIEJ SZTUKI PRYMITYWNEJ W RZYMIE

Duże zainteresowanie sfer artystycznych Rzymu wzbudziła otwarta ostatnio w stolicy Włoch wystawa polskiej sztuki prymitywnej. Ekspozycja, zorganizowana w Galerii AN przez przedsiębiorstwo „Desa", przy współudziale Włoskiego Towarzystwa dla Współpracy Kulturalnej z Polską, obejmuje 60 prac 19 autorów z całego kraju. W wystawie uczestniczą m. in. Jan Jachmiak, Helena Roj-Ciaptak, Henryk Zegadło, Maria Korsak, Stanisław Karulak i Maria Lenczewska (obrazy) oraz Wincenty Krajewski, Adam Zegadło i Jana Lada (rzeźba).

Wystawę przygotowano pod kierownictwem znawcy twórczości tzw. artystów naiwnych — doc. Aleksandra Jackowskiego z Instytutu Sztuki PAN.

„RĘKOPIS ZNALEZIONY W SARAGOSSIE" WYDANY W PARYŻU

„Rękopis znaleziony w Saragossie", który w wersji filmowej wyświetlany jest na ekranach kin paryskich, został udostępniony francuskiej publiczności również w wersji książkowej. Utwór Jana Potockiego ukazał się bowiem ostatnio nakładem wielkiego domu wydawniczego „Gallimard" z przedmową znanego literata, Rogera Caillois. Książkę ilustrują ryciny z ówczesnej epoki, łącznie z podobizną autora.

„TANGO" MROŻKA W LAHTI

W Teatrze Miejskim w Lahti, stolicy sportów zimowych Finlandii, odbyła się premiera „Tanga" Sławomira Mrożka. Na premierę zarząd miasta zaprosił ambasadora PRL w Finlandii, Aleksandra Juszkiewicza. Sala teatru była wypełniona do ostatniego miejsca, a po spektaklu publiczność zgotowała wykonawcom gorąca owacje. Burmistrz miasta, Olavi Kajala, wydał na cześć amb. Juszkiewicza i jego małżonki przyjęcie w salach ratusza.

PRZED FESTIWALEM MUZYKI POLSKIEJ

Obok Anonima z XVI wieku — Szymanowski, Bacewiczówna, Górecki — oto czym charakteryzować się będzie tegoroczny IV Festiwal Muzyki Polskiej w Bydgoszczy (8—15 września). Impreza przyniesie wiele prawykonań, szczególnie w zakresie naszej muzyki dawnej.

Na festiwalowych estradach w Bydgoszczy, Toruniu i częściowo w Lubostroniu wykonane zostaną po raz pierwszy po kilkusetletniej przerwie odkryte niedawno utwory organowe z tabulatur warszawskiej (1580 r.) i pelplińskiej (XVII wiek), oratorium twórcy z okresu baroku Bartłomieja Pękiela pt. „La Lombardesca", uwertura i symfonia B-dur, znakomitego polskiego skrzypka z okresu romantyzmu — Karola Lipińskiego, ponadto — bezimienne sonaty fortepianowe z ubiegłego wieku, „Serenada" Macieja Radziwiłła". Wśród utworów XX-wiecznych zaprezentowany zostanie nieznany koncert skrzypcowy Ludomira Różyckiego.

Wykonawcami festiwalowego programu będą czołowi polscy soliści i znakomite zespoły specjalistyczne. Wystąpią m. in. Wanda Wiłkomirska i Konstanty Kulka (skrzypce), obok zaś „Capella Bydgostiensis pro Musica Antiqua" — dwa inne zespoły: kameralistów Filharmonii Narodowej pod dyr. Karola Teutscha i „Pro Musica" z Łodzi.

POLSKA MUZYKA W WĘGIERSKIM RADIU

Ostatnio rozgłośnia radiowa w Budapeszcie nadała kilka audycji poświęconych polskiej muzyce. W „Panoramie muzycznej" przedstawiono m. in. sylwetkę Tadeusza Bairda i wykonano jego utwór „Cztery dialogi na obój i orkiestrę"; nadano także fragmenty „Halki" Stanisława Moniuszki oraz koncert fortepianowy d-moll Brahmsa w wykonaniu Witolda Małcużyńskiego i orkiestry Filharmonii Narodowej pod dyrekcją Stanisława Wisłockiego.

W audycji pt. „Stare instrumenty, nowe zespoły" węgierscy melomani usłyszeli nagrania muzyki polskiej w wykonaniu zespołów — Capella Bydgostiensis pro Musica Antiqua i Musicae Antiquae Collegium Varsoviense Filharmonii Narodowej.

RYSUNEK JERZEGO FLISAKA W „SOWIETSKIEJ MUZYCE"

W rubryce „Humor naszych przyjaciół" styczniowy numer miesięcznika „Sowietskaja Muzyka" przynosi rysunek znanego naszego grafika Jerzego Flisaka. Rysunek ten stanowi satyryczny komentarz ostatniej „Warszawskiej Jesieni".

WYSTAWA PRAC POLSKIEGO MALARZA W SZTOKHOLMIE

W Galerii „Observatorium" w Sztokholmie otwarto wystawę obrazów artysty z Krakowa Leszka Sosmockiego. Ekspozycja wywołała duże zainteresowanie, co znalazło m. in. odbicie w obszernych recenzjach w całej prasie sztokholmskiej. Krytycy z dużym uznaniem piszą zwłaszcza o serii prac o tematyce oświęcimskiej.

TEKSTY POLSKIE W XVIII-WIECZNYM ZBIORZE PIEŚNI ROSYJSKICH

Filologowie radzieccy — Nina Filippowa i Aleksander Pozdniejew relacjonują na łamach czasopisma „Slavia Orientalis" odkrycie w zbiorach Państwowego Muzeum Historycznego w Moskwie XVIII-wiecznego rękopisu, który zawiera 59 współczesnych pieśni bez zapisu nutowego. Rękopis należał niegdyś do znanego kolekcjonera Szczukina. Osobliwością zbioru jest to, że znajduje się w nim 8 pieśni o tekstach polskich, zapisanych jednak cyrylicą.

Przeważają w zbiorze pieśni miłosne oraz utrzymane w stylu sielanek pasterskich.

„ŻYCIE RAZ JESZCZE" — W TELEWIZJI NRF

Telewizja zachodnioniemiecka przedstawiła po raz pierwszy w NRF — nakręcony w 1965 r. przez Janusza Morgensterna film „Życie raz jeszcze". Audycję poprzedził komentarz o rozwoju kinematografii polskiej.

AMERYKAŃSKA SZTUKA O ZABÓJSTWIE KENNEDY'EGO

W pierwszych dniach lutego odbyła się w teatrzyku w nowojorskiej dzielnicy Greenwich Village premiera sztuki pt. „McBird" Barbary Garson. Już sam tytuł zdradza, że mamy do czynienia z pastichem — niedwuznacznie dźwięczy w nim szekspirowski Makbet.

Widzowie bez trudu odgadują w postaci McMirda obecnego prezydenta Johnsona, w Johnie Ken-O'Duncu rozpoznają zamordowanego prezydenta USA. Występują w sztuce również obaj bracia Kennedy'ego — Edward i Robert, lord McNamara, lord Stevenson i inni.

W sztuce prezydent Johnson jest ukazany nie tylko jako zabójca Duncana, ale również jako podejrzany o spowodowanie katastrofy samolotowej, w której poważnie ucierpiał Edward Kennedy. Przypisuje się mu nawet winę za zawał serca Stevensona.

W prologu czarownice — w tej roli w sztuce występują: Murzyn, beatnik i stary lewicowiec — przepowiadają, że Robert Kennedy pokona Johnsona. Sztuka jest bardzo aluzyjna. Tak np. w toku akcji widz może się dowiedzieć, że McBird przewidywał upadek Ken-O'Duncа i zawczasu przygotowywał się do wykorzystania tej okazji, że przygotowywał się jednocześnie do stłumienia wszelkich domysłów na temat rzeczywistego sprawcy morderstwa. Lady McBird nie może w żaden sposób pozbyć się... przykrego zapachu, który ją prześladuje. Samo morderstwo przedstawione jest jako wynik spisku, w którym zamieszana jest również policja teksaska.

Sztuka spotkała się z entuzjastyczną oceną czołowych krytyków amerykańskich. Robert Brustein nazwał ją „jednym z najbardziej pobudzających do myślenia utworów teatru amerykańskiego". Eric Bentley uważa ją za „ostrzeżenie przeciwko amerykańskiemu stylowi życia". Dwight McDonald napisał, że to „najostrzejsza i zarazem najdowcipniejsza satyra", jaką czytał w ciągu ostatnich lat. Znakomity współczesny poeta amerykański, Robert Howell, skomentował sztukę następującą uwagą: „Nie mogę nic powiedzieć na temat politycznej trafności sztuki, ale jestem przekonany, że pojawił się nowy geniusz literacki".

Rzecz jasna, w sztuce jest wiele reminiscencji i parafraz z wielkiego prawzoru szekspirowskiego. Tak np. lord Stevenson rozpoczyna swój monolog od słów: „To see or not to see — that is the question".

Lubię te programy poetyckie, które przygotowuje dla nas Studio 63; ostatni zagrał nam wierszem Władysława Broniewskiego. Wiersz był osobisty, pełen wyznań, ciepła, smutku, potrącający nieustannie o strunę lirycznych uniesień nad mazowiecką równiną, spięty niczym drogocenną klamrą poematem „Wisła". Andrzej Brzozowski, który przygotował „Dwa skrzydła" w ramach obchodów 5 rocznicy śmierci poety, nadał mu rytm niemal epicki poprzez dobór tematyczny i dzięki harmonijnej płynności programu. To był teatr rapsodyczny, wzbogacający nośność słowa, fragmentami filmu córki poety o mazowszańskich brzegach Wisły, w którym łany zbóż, traw, wir rzeki, chaszcze przybrzeżne były także aktorami. W tę malowniczość arcypolską wdzierało się słowo, podane z wirtuozerią przez szóstkę wykonawców i przez samego poetę, wdzierał piękny profil Anny Milewskiej, intymność recytacji Ryszardy Hanin, siła i optymizm filozoficzny Władysława Hańczy (jego recytacja jednego z najpiękniejszych wierszy Broniewskiego o opadającym liściu — „Dąb" rodziła wielkie wzruszenie swą doskonałością).

Obserwuję niemal od początku pracę Studia 63 i stwierdzić to mogę dziś na pewno, że pracuje ono z wielką śmiałością o utrzymanie jednolitej koncepcji, że koncepcji tej podporządkowuje formę, że, nie zaniedbując poszukiwań i każdy program wzbogacając nowym elementem formalnym, wyszło jednocześnie poza granice eksperymentu. Że ten eksperyment zawsze w końcu niepewny w efektach ostatecznych, zastąpiło pewnością, którą jest przede wszystkim umiejętność łączenia poezji z elementami teatru i filmu, służącymi tu za podbudowę siły wiersza, celności trafiania do bardzo różnego odbiorcy.

Z innych teatraliów tego tygodnia muszę wspomnieć millerowską „Śmierć komiwojażera" — sztukę tyleż znaną, co świetnie napisaną. Poniedziałkowy spektakl Janusza Warmińskiego, na pewno inny od tradycyjnych inscenizacji — mógł nawet denerwować widza, ale jeszcze raz obronił tezę o odmiennej specyfice teatru telewizji w porównaniu tegoż z teatrem scenicznym. I to dobrze, i tu upatruję jego wielką zasługę. Na ogół drażnią mnie w teatrze TV dokrętki filmowe, rozbijające harmonię sceniczną, umowność, jaką scena potrafi stworzyć. Film wychodzi poza ramy tej sceny, ucieka w świat pojęć realistycznych, dosłowności; rozszerzając pozornie środki wyrazu dramatu — jednocześnie zuboża tworzywo teatralne, łamie konwencję teatru. Czy jednak teatr telewizyjny nie jest par excelence teatrem filmowym? Czy właśnie jego specyficzny rodzaj sceny, sam w sobie nie narzuca już konwencji filmowej? Stara kłótnia na temat zbliżenia teatralnego, które jest niczym innym jak środkiem ekspresji czysto filmowej, niechże potwierdzi tę odmienność teatru telewizyjnego bodaj w jednym przypadku.

Mieliśmy w „Śmierci komiwojażera" wiele filmu: fragmenty ulic tuneli Manchattanu z obłędnym ruchem samochodów, nocną jazdę Willy Logana, świetne przenikanie — bez filmu, a więc dla scenicznego teatru niemożliwe. I tak jak pierwsze akcenty filmowe zubożały mi i tak czytelną jednoznaczność dusznej atmosfery sztuki, osaczenia, samotności, właśnie poprzez zwykłą, gadatliwą łopatologię i były po prostu nie z tego [illegible]aru; tak przenikanie, sekwencje [illegible]mal filmowe, ze spotkań z wujem Benem, zdobiące sztukę nieco surrealistycznymi wizjami — przydawały jej jednocześnie głębi, ostrości, siły wyrazu, będąc zarazem siłą owej telewizyjnej odmienności.

Władysław Krasnowiecki stworzył kreację — znowu może dyskusyjną, ale tak różną od dwóch scenicznych, które widziałem osobiście i tak przerażająco prawdziwą, graną niemal na nucie histerii samotnika, że sprawdziła się na pewno w swojej jakości dla każdego telewidza. Piękną rolę zrobiła Hanna Skarżanka; patologiczną, a zarazem ludzką postać Biffa dał Gogolewski, z najwyższą intuicją partnerując Krasnowieckiemu. Słowem — dostaliśmy spektakl ciekawy, dyskusyjny — Millera bardzo telewizyjnego. Co podkreślam, co warto zauważyć i co może być punktem wyjścia dla innych premier.

I żeby już do końca pozostać przy teatrze, wspomnę jeszcze Teatr Sensacji, który zakończył przygody kapitana Klossa właśnie w ubiegły czwartek. Były sympatyczne, często ciekawe, często pełne napięcia i często aktorsko bardzo słabiutkie, co nie powinno mieć miejsca przynajmniej przy takich nazwiskach, jak Mikulski — aktor kiedyś świetny i Horawianka, która wspierała swoją twardą urodą oraz intersującą osobowością również twarde heroiny dwojga autorów. Wielu telewidzów jednak wybaczy wszystkie płyciny warsztatu pisarskiego i aktorskiego, brzydkie „sypki", niedopracowania, bowiem nic lepszego dotąd nie zostało nam dane i na nic bodaj również dobrego się nie zanosi. Wyczerpały się bowiem polskie seriale.

Niewyczerpany w pomysłach inscenizacyjnych jest natomiast Telewizyjny Teatr Lalki, który przygotował dzieciom niedzielne widowisko „Krzesiwo" Andersena w adaptacji Haliny Januszewskiej z niezwykłej piękności oprawą scenograficzną, pełne czarownych wizji, grane przez plejadę znakomitych aktorów, pogodne, zabawne, melodyjne i reżyserowane przez Bohdana Radkowskiego.

Krystyna

CYGANECZKA Foto: JERZY ŻAK

Wydawnictwo „Arkady" wydało ostatnio pracę doc. dr **Józefa Grabowskiego** pt. „SZTUKA LUDOWA, FORMY I REGIONY W POLSCE". Omawia w niej autor charakterystyki poszczególnych gałęzi tej sztuki (budownictwo, malarstwo, tkanina, strój, ozdoby itp.), a następnie przedstawia je w ujęciu geograficznym, podejmując próbę podzielenia Polski na części utworzone na podstawie różnic lokalnych sztuki ludowej.

Dzieli więc Polskę na 12 grup nie pokrywających się z podziałem geograficznym czy historycznym. Do jednej grupy zalicza np. autor całe Rzeszowskie, nie wyodrębniając poszczególnych regionów kulturowych.

Album zawiera bogaty materiał ilustracyjny (385 ilustracji czarno-białych oraz 5 wielobarwnych). Na podkreślenie zasługuje staranna szata edytorska (płótno, barwna obwoluta). Praca opatrzona jest streszczeniem i opisem ilustracji w tłumaczeniu na języki angielski i rosyjski. Cena 125 zł.

Jerzy Putrament: WRZESIEŃ. MON 1967, s. 434, cena zł 28.

Wielokrotnie wznawiana powieść ukazująca przyczyny katastrofy wrześniowej i jej następstwa. Talent autora zagwarantował duże walory artystyczne książki, a bogaty materiał historyczny oraz bezwzględny protest przeciwko wojnie — wciąż aktualny temat dla polskiego czytelnika.

Andrzej Perepeczko: KURS NA ŚWIT. Wyd. Morskie 1966, s. 226, cena zł 15.

Debiut literacki wykładowcy Szkoły Morskiej w Gdyni, byłego marynarza. Książka porusza bolesne dla ludzi morza problemy sprzed Października.

Stefan M. Kuczyński: RZECZYWISTOŚĆ HISTORYCZNA W „KRZYŻAKACH" HENRYKA SIENKIEWICZA. PIW 1967, s. 207, cena zł 15.

Drugie wydanie ciekawej pracy o wartości historycznej powieści Sienkiewicza. Omawia ona genezę „Krzyżaków", epokę i jej wydarzenia, sprawy społeczne epoki oraz największe jej polityczne wydarzenie — bitwę pod Grunwaldem.

Szymon Kobyliński: PROCH O ŚCIANĘ. Iskry 1967, s. 83, cena zł 15.

Zbiór świetnych rysunków Szymona Kobylińskiego, znanego przede wszystkim z sluzyjnych obrazków zamieszczanych w „Polityce". Dużo poczucia humoru.

Ernesto Sábato: O BOHATERACH I GROBACH. Przeł. H. Czajka. PIW 1966, s. 491, cena zł 30.

Książka jednego z najwybitniejszych współczesnych pisarzy argentyńskich. Akcja jej toczy się w latach 50-tych w Buenos Aires, jest wielowątkowa i rozgrywa się w dwóch planach czasowych. Powieść tłumaczona jest na wiele języków i posiada uznanie krytyki.

Stanisław Popławski: TOWARZYSZE FRONTOWYCH DRÓG. MON 1967, s. 437, cena zł 38, mapy.

Pamiętnik dowódcy z okresu II wojny światowej, z walk na szlaku od Wisły do Berlina. Wspomnienia obejmują również młodość autora, a kończą się dniem zwycięstwa w Berlinie. Bogaty i ciekawy materiał ilustracyjny. Wznowienie.

POLACY W WOJNIE HISZPAŃSKIEJ (1936—1939). MON 1967, s. 271, cena zł 34.

Drugie poprawione i uzupełnione wydanie książki omawiającej udział Polaków w narodowo-rewolucyjnej wojnie narodu hiszpańskiego. Składa się z referatów wygłoszonych na specjalnej konferencji, głosów w dyskusji, klikunastu dokumentów ilustrujących udział Dąbrowszczaków oraz imiennego wykazu ochotników polskich.

Janusz Tazbir: PAŃSTWO BEZ STOSÓW. PIW 1967, s. 299, cena 30 zł.

W tym zbiorze szkiców z dziejów tolerancji w Polsce XVI i XVII w. autor próbuje wyjaśnić zagadkę pokojowego przebiegu polskich walk wyznaniowych, głównie z punktu przemian mentalności Polaków Renesansu. Obszerne przypisy i indeks osób.

Gieorgij Siemionow, ŁABĘDZIE I ŚNIEG. Przeł. I. Bajkowska. PIW 1966, s. 219, cena 12 zł.

9 współczesnych opowiadań 36-letniego pisarza radzieckiego. O ludziach w różnych sytuacjach życiowych. Obserwacja psychologiczna i subtelna jej analiza.

Siergiej Sołowiow: ZAMIERZENIA I PLANY. MON 1967, s. 356, cena 19 zł.

Specjalistyczna i w małym nakładzie (1 500 egz.) praca stanowi przegląd planów wojennych niemieckiego Sztabu Generalnego w okresie II wojny światowej. Szkice.

Karol Morawski: CZERWONA REWOLUCJA I BIAŁY REGENT. KiW 1966, s. 264, cena 10 zł.

W bibliotece „Światowida" omówienie odcinka historii Węgier lat 1914—1945. Główne zagadnienia polityczne, ale na tle społecznym i gospodarczym. Chyba pierwsza tego typu i na ten temat w Polsce pozycja.

Martin Luther King: DLACZEGO NIE MOŻEMY CZEKAĆ. Tłum. Daniel Passent. Posłowie M. Hofmana. KiW 1967, s. 172, cena 13 zł.

Traktująca o kwestii murzyńskiej praca laureata pokojowej nagrody Nobla stara się wyjaśnić, dlaczego Murzyni nie mogą już dłużej czekać na całkowitą likwidację dyskryminacji rasowej w USA. Uzasadnia zarazem wprowadzoną przez siebie nową metodę walki, metodę biernego oporu.

Jędrzej Müller, Zbigniew Obniski: SKARBY ZIEMI. Iskry 1966, s. 174, cena 15 zł. Z cyklu „Człowiek poznaje świat".

Historia i współczesność, legenda i rzeczywistość, ciekawostki i popularne ujęcie faktów znanych tylko wąskiemu gronu specjalistów czynią z tej książki zajmującą lekturę i stanowią o jej walorach poznawczych.

Tadeusz Bukowski: PIECZARKI. PWRiL 1966, s. 308, cena 12 zł.

Trzecie z kolei wydanie obejmujące metody uprawy pieczarek, omawiające choroby i sposób przyrządzania tych smacznych grzybów.

Na naszym ekranie

Jana Brejchova

W 36 filmach, jakie wyprodukowała w 1966 roku czechosłowacka kinematografia, pojawiło się tyle ładnych i zdolnych dziewcząt, że niełatwo jest dokonać wyboru dla zaprezentowania jednej z nich czytelnikom „Widnokręgu". Wybraliśmy Janę Brejchovą, znaną już wielu kinomanom, a zarazem, mimo mnóstwa rywalek, najpopularniejszą gwiazdę filmową naszych południowych sąsiadów.

Kariera filmowa tej aktorki jest oszałamiająca. Debiutująca w 1954 roku, w ciągu 12 lat wystąpiła w ponad 30 filmach, grała w Czechosłowacji, NRD i NRF, zdobyła kilka międzynarodowych nagród. Nagrody te — zbiegiem okoliczności — zapowiadały także dobrą passę filmu czechosłowackiego, zapoczątkowując — po wielu latach chudych — jego sukcesy na arenie międzynarodowej.

Pierwszą rolą Jany była postać uczennicy, biednej dziewczyny z przedmieścia w filmie Irżiego Sekwensa „Ołowiany chleb". „Aktorka" sama chodziła jeszcze do szkoły, miała 14 lat i jeszcze nic nie zapowiadało jej ekranowych sukcesów. Po skończeniu szkoły pracowała jako kreślarka w biurze budowlanym i dopiero po 2 latach powtórne zaproszenie przed kamery zadecydowało o jej dalszych losach. Gra w „Sprzeczce", „Podlotkach" i „Winie Włodzimierza Olmera" oraz w „Złotym pająku".

W roku 1958 na ekrany wchodzi „Wilcza jama" reżysera Irżiego Weissa — film, który zwraca na Brejchovą uwagę międzynarodowej widowni. Na festiwalu weneckim Jana otrzymuje za rolę w „Wilczej jamie" nagrodę międzynarodowej krytyki filmowej „Fipresci".

Inny sukces przychodzi w roku 1960. Za rolę młodej dziewczyny w znakomitym filmie „Wyższa zasada" Irżiego Krejczika aktorka otrzymuje na festiwalu w Locarno nagrodą za najlepszą kreację żeńską. Trzecie międzynarodowe wyróżnienie zdobywa w roku 1965 w Berlinie.

W ciągu tych lat aktorka większą część czasu spędza w świetle jupiterów. Filmy czechosłowackie: „Romans na przedmieściu", „Przebudzenie", „Tęsknota", „Moralność pani Dulskiej" (tak, tak, tę polską sztukę zekranizowano w CSRS), radzieckie „Majowe gwiazdy", gdzie grała młodą nauczycielkę — oto jej kolejne występy na ekranie.

Mimo że zaszczyty spadały na Brejchovą głównie za role dziewczęce, w których zaczęła się dzięki reżyserom „specjalizować", aktorka postanawia zerwać z jednostronnością.

— „Nie chcę już grać podlotków i 18-letnich panienek — powie kiedyś w wywiadzie prasowym. — Nie chciałabym nawet grać Julii w dramacie Szekspira.., najchętniej grałabym role prawdziwych, współczesnych kobiet".

Przez pewien czas występuje w filmach niemieckich: „Ktoś obok ciebie", „Lot kapitana Loya" (oba NRD) oraz „Zamek Gripsholm" i „Dom przy Karpfenstrasse" (NRF). W międzyczasie wraca do Barrandowa, gdzie występuje w oryginalnym aktorsko-rysunkowym filmie Karela Zemana „Przygody Muenchhausena".

W filmach NRF partnerami Brejchovej są m. in.: Pierre Brice, Walter Giller i jego żona Nadia Tiller, znana u nas przede wszystkim z „Dziewczyny Rosemarie".

I znów powrót do Pragi. W komedii muzycznej „Gdyby tysiąc klarnetów" Jana gra Teresę, dla której Waldemar Matuszka śpiewa znany później i u nas szlagier „Tereza", występuje w dramacie „Każdy dzień odwagi" oraz u boku swego męża Vlastimila Brodsky'ego w filmie sensacyjno-fantastycznym „Utracona twarz". Następnie Wojtech Jasny proponuje jej rolę w „Fajkach" według Ilii Erenburga.

Zwolennicy Brejchovej zastanawiają się, czy ta mnogość filmów wychodzi aktorce na dobre. Wydaje się, że z niektórych jej kreacji zaczyna wyzierać zawodowe rutyniarstwo, niepogłębianie roli, brak dawnej świeżości. I choć nadal urzeka urodą i temperamentem, to przecież w wielu filmach zaczynają pojawiać się aktorki, które mogą zagrozić jej hegemonii w filmie czechosłowackim. Między innymi znakomity sukces w „Miłości blondynki" odniosła młodsza siostra Jany — Hana Brejchova.

Ale gwiazda nr 1 wytwórni na Barrandowie nie zamierza ustępować z planu. Zagrała razem z mężem w komedii Zdenka Podskalsky'ego „Kobiety nie bij nawet kwiatem", następnym zaś jej filmem będzie obraz reżysera Ewalda Schorma „Powrót syna marnotrawnego" — poświęcony problemom współczesnej młodzieży. Rola Brejchovej w tym filmie jest interesująca, choć trudna i psychologicznie bardzo złożona. Ale właśnie takie role, niezależnie od trudności, dają możliwość zabłyśnięcia talentem.

(sz)

TADEUSZ KOZIOŁ — artysta plastyk
rys. J. SIENKIEWICZ

Dialog bratnich literatur

Płodne i owocne są obustronne kontakty we wszystkich dziedzinach kultury pomiędzy Czechosłowacją i Polską. Chyba najtrwalszy w swym społecznym oddziaływaniu wkład w dzieło lepszego poznania się obu kultur ma piśmiennictwo naszych narodów — mówi prezes Pen-Clubu Michał Rusinek. Mam tu na myśli wzajemnie przyswojone (przetłumaczone) na oba języki dzieła z zakresu literatury, dramaturgii, nauki i techniki. W tej dziedzinie polskie piśmiennictwo, które zwłaszcza w ostatnim dziesięcioleciu zwróciło na siebie uwagę całego świata (dzieła polskich autorów tłumaczone są w 42 państwach, na 66 języków, a liczba tytułów przekroczyła 3 200), szczególnie wdzięcznego odbiorcę znajduje w narodach Czechosłowacji. Tłumaczenia z literatury polskiej na języki czeski i słowacki powiększą w bież. roku listę tytułów do 750. Rok ubiegły zamknęliśmy bilansem 62 pozycji. Z kolei w Polsce w ciągu 20-lecia ukazało się 340 pozycji literatury czechosłowackiej.

W tym zakresie jesteśmy nieco zadłużeni wobec naszych pobratymców. Literatura polska na liście tłumaczeń w Czechosłowacji zajmuje drugie miejsce po ZSRR. W czasie kolejnego 10-dniowego seminarium naukowego dla tłumaczy literatury polskiej z udziałem 12 przedstawicieli z CSRS, którzy mieli możność zapoznać się w trakcie swego pobytu w Warszawie i Krakowie z referatami najwybitniejszych luminarzy polskiego literaturoznawstwa i krytyki, goście nasi wspominali między innymi o potrzebie poprawienia tych proporcji.

Sprawa ta stanie się niewątpliwie przedmiotem korekt w polityce wydawniczej niektórych naszych wydawnictw.

Zdarzenia tygodnia

Ostatnio w Przemyskim Domu Kultury odbyło się spotkanie przedstawicieli Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie z przedstawicielami towarzystw społeczno-kulturalnych mniejszości narodowościowych (UTSK i TKZ). Omówiono sprawy dotyczące współpracy oraz pomocy udzielanej zespołom tych towarzystw przez placówki kulturalno-oświatowe. Na naradzie obecny był prezes Zarządu Głównego Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego w Warszawie.

* * *

W Okręgowym Muzeum w Rzeszowie eksponowana jest obecnie wystawa prac Krystyny Suss — malarstwo na porcelanie i porcelicie.

* * *

Dnia 25 lutego br. w Powiatowym Domu Kultury w Jarosławiu odbyły się Powiatowe Eliminacje VI Ogólnopolskiego Konkursu Piosenkarzy-Amatorów Wykonawców Piosenki Radzieckiej, w których wzięło udział 14 solistów oraz 4 zespoły wokalne. I miejsce uzyskał Stanisław Wojdyło — Jarosław i Franciszka Harasik ze Skołoszowa. II miejsce Mariola Gajewska z Technikum Przemysłu Spożywczego z Jarosławia. Wymienieni soliści wezmą udział w eliminacjach wojewódzkich.

* * *

W ubiegłym tygodniu odbyły się eliminacje powiatowe XIII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego w Jarosławiu, Tarnobrzegu, Gorlicach, Kolbuszowej, Lesku, Lubaczowie i Leżajsku kategorii amatorów i młodzieży szkolnej.

Kalman Segal

Skazany

Godzinami spaceruje wokół tego samego miejsca, krąży nad swoją ofiarą jak skalny sęp nad padliną, wyszukuje sto urojonych powodów, by uzasadnić to jedno zdanie, które pragnie jej powiedzieć. Porusza się jak pies na łańcuchu, zatacza potężne koła, a w środku tych kół jest ONA — kobieta, od której nie można uciec.

(Czy słyszał Pan kiedy o polipach, które obejmują człowieka mackami, wciągają go w głąb, wysysają z niego krew — ta kobieta jest podobna do polipa. Jest wyrafinowana, trochę z okrucieństwa, trochę z nudów pozbawia człowieka woli, pozostawiając mu jedynie i l u z j ę własnego wolnego wyboru).

A on, Skazaniec, spotyka codziennie wiele kobiet pięknych — są dobrze wychowane, mają miły uśmiech, subtelną urodę, dobry charakter, interesującą inteligencję, posiadają to, co w pewnych okresach życia (najczęściej zbyt wcześnie lub zbyt późno) zaczynamy doceniać: charakter. Lecz on obojętnie przechodzi obok nich, omija je, po to, by zatrzymać się przed tą hydrą, która owinie się wokół niego, zatruje jadem, odbierze spokój dając w zamian kiepską namiastkę tabletki nasennej.

— Proszę, niech Pan się nie oburza, szanowny obywatelu, nie zamierzam Pana zatrzymywać, to by się zresztą nie udało. Pan j u ż n a l e ż y do niej. Jest Pan jej własnością, jej ofiarą.

Skąd ja o tym wiem? To proste. Ja też ją kocham.

ALBOŚMY TO CACY, CACY...

Wojna gromadzka nie co dzień trwa!

Od kilku miesięcy wieś podzielona jest na dwa wrogie obozy, ale tak po prawdzie to i już po wojnie. Z tego zmartwienia jeden ochotnik ze straży pożarnej dzisiaj na zasłużonym odpoczynku, znowu zaczął odwiedzać gospodę i zalewa robaka. Jest to o tyle przykre, że jego antagonista, miejscowy poeta awangardowy nie uznający ortografii, szuka natchnienia także w gospodzie, co może doprowadzić do poważniejszych konfliktów.

Wojna zaczęła się kilka miesięcy temu. Przedstawiciele młodego pokolenia doszli do wniosku, że ich wieś wyraźnie odstaje w rozwoju kulturalnym. Na zebraniu gromadzkim aktywistka młodzieżowa, koleżanka Szarotka, niezwykle precyzyjnie i stanowczo zreferowała stanowisko młodego pokolenia.

— Nasza wieś jest zacofana i niekulturalna, bo w całym kraju powstają jak grzyby po deszczu klubokawiarnie, a u nas marazm.

Awangardowy poeta Laurka nie uznający ortografii, jak również kontaktów z wodą, choć złośliwi twierdzą, że leje ją do swoich tworów, wyczerpująco scharakteryzował ogólną sytuację w kraju, związaną z niżem wodnym. Swoje wywody zakończył słowami:

— To wstyd, że nasza wieś nie ma kuźni intelektualnej, — i zaproponował uruchomienie kawiarenki w budynku nieczynnej łaźni.

Przeciw tej propozycji zareplikował nieśmiało ochotnik SP na zasłużonym odpoczynku.

— Ja tam nie jestem kształcony, ale łaźnię zbudowaliśmy z wielkim trudem jeszcze przed wojną i zawsze się nią szczyciliśmy.

— Słusznie — wtrącił obywatel Sowa, przedstawiciel starszego pokolenia, służyła ona nam z pożytkiem przez parę lat. Czy raczej nie należałoby jej wyremontować, zwłaszcza że w gromadzie mamy świetlicę.

— Oto jak ulegamy wstecznym poglądom — zadecydowała koleżanka Szarotka. O głos poprosił również awangardowy poeta:

— Na was trzeba Majakowskiego. On by wam sprawił łaźnię — po czym zarecytował:

— „Częste mycie skraca życie".

Referent Malik zwrócił uwagę koledze Laurce, aby się jaśniej wyrażał, bo nie wszyscy są oblatani w poezji.

— Nie zgadzam się z kol. Laurką — wtrącił ktoś z sali. — Jeden z naszych wieszczów napisał: „Myjcie się dziewczyny...".

Wyraźnie niezdecydowana i wahająca była referentka Kwiatuszek. Pamiętam, że przed wojną Mańka jak zaczęła się często myć, to zeszła na złą drogę. Ale i kawiarenka to chyba nic dobrego.

Po wyczerpującej dyskusji przedstawiciele władzy gromadzkiej dali się przekonać młodym. Mimo oporu kilku zacofanych osobników, podjęto decyzję pokrycia kosztów remontu i adaptacji łaźni na kawiarenkę.

Niełatwo jednak być prorokiem we własnym kraju. Na ostatniej zabawie pod wpływem alkoholu doszło do pewnych nieporozumień między niektórymi młodzieńcami, i ręcznych perswazji... Tak upadł projekt: KAWIARNI W ŁAŹNI I BRUDASÓW W KAWIARNI...

* * *

„Wojnę gromadzką, co nie co dzień trwa" dedykujemy pewnym Sarmatom z Handzlówki, pow. Łańcut, aby uwierzyli, że na zmycie główek nie potrzeba nawet łaźni.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony 2056, 2057 — wewn. 198. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.